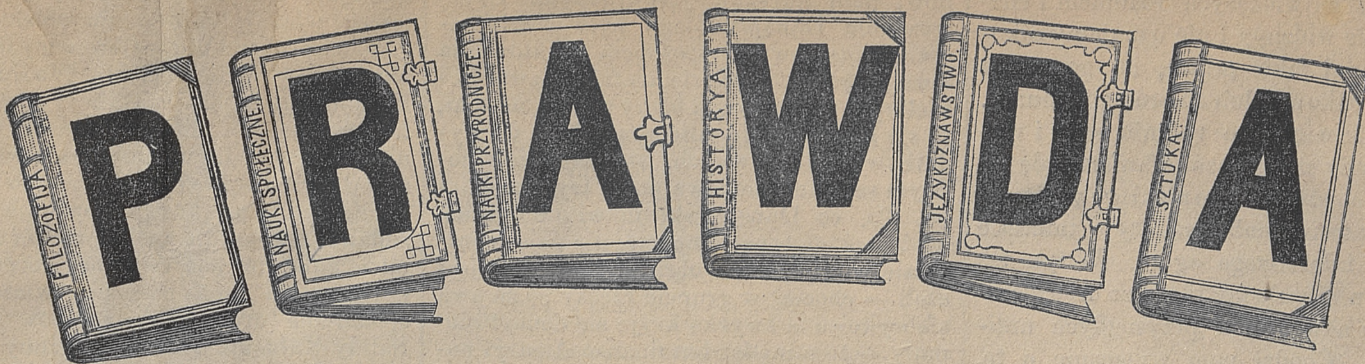
Nr. 1. Warszawa, dnia 4 Stycznia (23 Grudnia) 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PATENTOWANIE OBYWATELI.

Badaczom etyki rozwojowej znany jest przez całe życie rodu ludzkiego w rozmaitych stopniach objawiający się fakt moralności, zakreślonej pewnym promieniem związków i stosunków i nieobowiązującej po za ich obrębem. Barbarzyńca, który kradzież lub morderstwo śród własnej osady, grupy, plemienia, uważa za zbrodnię, też same czyny, popełnione zewnątrz swej społeczności, poczytuje za obojętne moralnie lub chwalebne. Bez skrupułu i najlżejszych wyrzutów sumienia obrabuje lub zje „obcego,“ ograniczając szacunek życia i mienia tylko do „swoich.“ Ta względność uczuć i reguł moralnych, która z taką jaskrawością występuje na niższych szczeblach kultury, istnieje również, złagodzona i uszlachetniona pozorami przykryta, na najwyższych. Europejczyk cywilizowany inaczej zachowuje się względem członków swojej rodziny lub swego narodu, niż względem cudzoziemców; gdyby przypadkiem zabił sąsiada, nie pozbyłby się nigdy zgryzot wewnętrznych, ale bez długiego namysłu zastrzeli w Afryce murzyna przy najmniejszem starciu.

Przez świat cywilizowany przelatują od czasu do czasu prądy, które ożywiają drzemiące w nim i zamierające instynkty stada, roju i gniazda, podniecając przeciw sobie nietylko narody, ale w tych narodach pojedyncze warstwy i żywioły. Wtedy występuje z całą siłą a często i nagością owa etyka pierwotna, która zna sprawiedliwość i miłosierdzie tylko dla „swoich,“ a obojętność lub okrucieństwo dla „obcych.“ Takie widowisko przedstawia nam obecnie antisemityzm. Po wojnie francusko-pruskiej, po rozbudzeniu się żądz barbarzyństwa, wytrysnął obfitym strumieniem w Niemczech prąd nienawiści i zagłady, który wylał się kilkoma łożyskami, to jako *polenhetze*, to jako *kulturkampf*, to jako *judenhetze*. Ostatni z tych potoków płynie dotąd bystrym nurtem i wbiegł na naszą niwę. Przed laty 25, kiedy jeszcze mieliśmy bardzo niewielu światłych i prawych obywateli pochodzenia semickiego, wycałowywaliśmy w braterskich uściskach brody żydowskie; potem żyliśmy z nimi w obojętnej zgodzie; następnie z zadowoleniem i pobłażaniem przysłuchiwaliśmy się wyprawianej im przez garść łobuzów dziennikarskich kociej muzyce; a dziś, kiedy ogromny ich procent zasymilował się z najlepszymi pierwiastkami społeczeństwa i kiedy nie wolno nam jego sił marnować, otworzyliśmy upusty antisemityzmowi — bawimy się w polityk somalów i choktów, albo raczej dawnych meksykanów, którzy tuczyli przez czas pewien jeńców, ażeby tłustych zarznąć na ofiarę rodzinnym bogom. Jeszcze więcej jest w tej polityce nierozumu i lekkomyślności, niż złej woli, ale chociaż nabroiła ona dużo złego, nie mamy zamiaru w tej chwili sumować wszystkich jej skutków. Chcemy tylko podkreślić jeden najświeższy jej moment.

Nie przeczyliśmy nigdy i nie przeczymy obecnie, że ogromna, ciemna, w znacznej mierze pasorzytnicza masa naszego żydowstwa wytwarza „kwestyę,“ którą ciągle podejmować i według możności rozwiązywać trzeba. Jest to także sama kwestya, jak sprawa kultury naszego ludu — również masy ciemnej, wyodrębnionej, od klas ukształconych daleko odsuniętej i — jak chcą niektórzy — posiadającej swoją odmienną „duszę“ i odrębną „cywilizacyę.“ Myśleć nad temi kwestyami, ujawniać wynikające z nich szkody i wskazywać środki zaradcze jest obowiązkiem każdego, kto swe serce i umysł zaprząta kłopotami ogółu. Żyd wyzyskuje i niszczy dobrobyt, chłop podpala, kradnie i zabija — obaj są sprawcami klęsk, które wymagają ciągłej baczności i starań zapobiegawczych. Ale kto nie stanowi dla nas żadnej „kwestyi,“ to inteligencya — żydowska, o ile językiem, duchem, obyczajami i przekonaniami upodobniła się zupełnie w kraju do równorzędnych żywiołów odmiennego pochodzenia. I oto nad nią właśnie odbył się niedawno w paru pismach niedorzeczny sąd, który ją pozbawił praw obywatelstwa. Wyznajemy otwarcie, że te gorszące wyroki przejęły nas wstrętem i zgrozą. Trzeba istotnie wielkiego zmącenia się w społeczeństwie rozumu, wielkiego rozzuchwalenia się jednostkowych kaprysów i swawoli, ażeby ktokolwiek śmiał i przyznawał sobie prawo zaliczania i wyłączania ludzi ze społeczeństwa, do którego oni należą i chcą należeć. Jakiekolwiek są przedmiotowe cechy pewnej narodowości, niewątpliwie stanowi o niej również przedmiotowe przekonanie każdego osobnika. Chociażbyśmy w kimś odnaleźli wszystkie znamiona francuza, jeśli on sam się uważa za niemca lub anglika, francuzem nie jest. Toż samo w wypadku odwrotnym. Tymczasem co widzimy? Ci sami publicyści, którzy gotowi są z kilku wyrazów polskich, płaczących się w angielskiej mowie amerykanina, spleść węzeł łączący go ze społeczeństwem polskiem, którzy odskrobują i odkopują rodaków na Kubie, Teneryfie, Antylach, którzy rozdmuchują najdrobniejszą iskierkę wspomnień narodowych w wynaturzonym emigrancie, gaszą to poczucie na miejscu w ludziach, w których ono płynie żywym ogniem. Tego rodzaju taktyka jest wprost bezmyślną, o ile zaś wywołuje wrzenie, sieje zarazę moralną, wznieca nienawiść między dziećmi jednej ziemi, apostołuje prześladowanie, przecina spójnie i osłabia zbiorową energię społeczeństwa — jest szkodnictwem. Zaiste trudno wyobrazić sobie większe rozpasanie publicznego słowa, nad wybryki pychy pierwszego lepszego rewizora patentów narodowych, który dla tego, że może swego dziada albo tylko ojca przyczepić do gromady aryjskiej, czuje się powołanym i upoważnionym do rozstrzygania, czy setki i tysiące obywateli kraju posiadają dostatecznie uzasadniony tytuł obywatelstwa, czy też nie. Usuwamy na bok zuchwalców, lecz

nawet śród największych rozumem i charakterem nie widzimy i nie uznajemy nikogo, ktoby miał takie prawo, bo go niema żaden jednostkowy lub zbiorowy trybunał.

Wszystkie więc tego rodzaju sądy i wyroki uważamy za śmieszną fanfaronadę albo za warcholstwo bardzo nizkiego poziomu, któremu przeciwdziałać należy w interesie błąkanego i durzonego ogółu. W tym też jedynie celu zabraliśmy głos bez najdalszego zamiaru nawracania przysięgłych antisemityzmu. Chodzi nam wyłącznie o to, ażeby społeczeństwo nie topiło swego rozsądku w odmęcie bredni i wskrzeszanych barbaryzmów moralności, oraz ażeby pokrzywdzeni napaściami nie przypuszczali, że w jakiemś zdziczałem społeczeństwie żyją, zwłaszcza że nasze może i powino być zarówno ucywilizowanem, jak ostrożnem w podsycaniu walk wewnętrznych, które je wycieńczają.

Z AUSTRYI.

Obrady parlamentu wiedeńskiego. — Sprawozdanie budżetowe Dunajewskiego. — Interpelacya Plenera i odpowiedź rządu w sprawie koronacyi czeskiej. — Nędza ludności wiejskiej w Galicyi i wnioski, któremi Koło polskie Galicyę ratuje.

Parlament wiedeński, zwołany na parę dni niemal przed rozpoczęciem wczasów świątecznych, zajmował się głównie zakulisowem porozumiewaniem się stronnictw z rządem. Wynikiem tych układów, których przebieg chwilami groźny był dla polityki hr. Taaffego, jest pozostawienie wszystkich spraw wewnętrznych w stanie poprzednim. Z tego, co w krótkim tym okresie odbywało się jawnie na trybunie parlamentarnej, warto uwagi tylko sprawozdanie budżetowe ministra Dunajewskiego i decyzja rządu w sprawie koronacyi czeskiej. Wezwanie Dunajewskiego, by posłowie wzajemnie powinszowali sobie zwyżki, oszczędzonej w ubiegłym roku, przyjęto ironicznie, zarzucając, iż po podatku wódczanym i cukrowym, po podwyższeniu cen tytoniu, kawy i nafty, po reformie ceł i podatku budowlanego, słowem po podniesieniu sumy podatkowej o pięćdziesiąt milionów, plon uzyskany jest drobnym. Sprawozdanie Dunajewskiego było zresztą nacechowane owym sposobem traktowania rzeczy, który Wekerle trafnie nazwał kokieteryą finansową, a który polega na tem, że się karabiny Mannlichera zalicza do wydatków produktywnych, stawiając je w jednym rzędzie z budową portu tryesteńskiego. To, co Dunajewski mówi o finansach austryackich w parlamencie, nie daje wprawdzie wiernego ich obrazu; pewnem jest atoli — chociaż w gruncie rzeczy po za ową sfabrykowaną zwyżką kryje się deficyt niemały — że minister ten finanse Austryi poprawił i że stale stan ich ulepsza.

Do rozpraw nad budżetem przyczepił Plener interpelacyę, jakie rząd zająć myśli stanowisko wobec prawno - państwowych roszczeń czeskich i wobec zaostrzonej walki między szczepami zamieszkującymi Czechy. Z upragnieniem oczekiwała opozycya odpowiedzi. W zamku cesarskim odbywała się narada ministrów pod przewodnictwem cesarza, a wynik jej ogłosił hr. Taaffe wśród głębokiego milczenia parlamentu. Była to odpowiedź, której zredagowanie nie mało trudu kosztować musiało, omija ona bowiem zupełnie zasadniczą stronę rzeczy. Podczas gdy w przeddzień jeszcze organy urzędowe donosiły, że rozstrzygnięcie sprawy koronacyi należy do prerogatyw korony, tak iż rząd kwestyi wyjaśnić nie może, rzekł hr. Taaffe, że dziś interes państwa wymaga przedewszystkiem spokojnego rozwoju stosunków na podstawie konstytucyi istniejącej i że rząd nie zamyśla na razie proponować cesarzowi zmian zasadniczych i koronacyi. Na drugą część pytań Plenera odpowiedział hr. Taaffe nie mniej gładkim frazesem: że rząd uwzględniać będzie uzasadnione pretensye niemców zupełnie w tej samej mierze, co czechów. Istotnie dziwić się czasem trzeba, dlaczego ludzie poważni bawią się jeszcze w urzędową tę komedyę pustych pytań i pustych odpowiedzi, które z faktycznym tokiem spraw nic nie mają wspólnego.

Niezwykłą cechę miały obrady ostatniego posiedzenia Koła polskiego. W tem gronie, myślącem zazwyczaj o sposobach zmniejszania swych próśb zanoszonych do rządu, odezwał się zacny poseł Hompesch ze stanowczem żądaniem energicznej pomocy wobec straszliwego niedostatku, jaki nawiedził ludność wiejską w Galicyi, dotkniętej nieurodzajem. Wobec profesorskiego optymizmu budżetowego p. Bobrzyńskiego w sejmie galicyjskim, na jakąż sympatyę zasługuje ten poczciwy niemiec, niedobrze jeszcze władający językiem polskim, a tak gorąco i praktycznie już broniący interesów wieśniaków galicyjskich! Według posła Hompescha, nędza w Galicyi obecnie jest tak wielką, że dla braku paszy w całym niemal kraju odbywa się ryczałtowa za bezcen wyprzedaż inwentarza żywego i mordowanie bydląt na skórę. Proponuje więc, by żądano zasiłku dla spółek melioracyjnych, udzielania im pożyczek bezprocentowych, dostarczania zboża na zasiew wiosenny gospodarzom drobnym z zasobów państwa. Saliny Kałuskie dostarczyć winny po przystępnych cenach soli potażowych dla zaradzenia przysztłemu brakowi nawozu. Nadto należy rząd nakłonić do wybudowania uznanych za potrzebne dróg żelaznych, przechodzących przez powiaty nieurodzajem dotknięte. Hompesch wezwał Koło polskie, by zajęło się przedewszystkiem tym ratunkiem. Poseł Chrzanowski wniósł, aby ministerstwo austryackie wykonało te przynajmniej drogi żelazne, których wspólne ministerstwo wojny domaga się ze względów strategicznych, a które po większej części dotykają właśnie powiatów zubożałych tak nagle. Władysław Czajkowski i włościanin Orzechowski proponowali w szeregu wniosków, by rząd wstrzymał egzekwowanie podatku gruntowego, jeżeli umorzenie go jest niemożliwem.

Czy dobra wola i energia tych posłów udzieli się przewodniczącemu Koła, któremu polecono przedsięwzięcie kroków odpowiednich? Wątpimy bardzo, bo po całej tej dyskusyi, która okazała, że nagłość pomocy jest niezbędną, p. Jaworski z prawdziwie parlamentarną flegmą zażądał, by wnioski powyższe przekazano przedewszystkiem do roztrząśnięcia polskim członkom komisyi budżetowej.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bywają takie tygodnie, że trzeba siebie pytać, czy Europa wszystkie już swoje własne sprawy załatwiła i myśli tylko o wynikających po za jej kresami? Takimi były dwa tygodnie ubiegłe. Naprzód major Wissman, urządzający czarnych w obrębie zajętym przez Niemcy, doniósł, że schwytał Buszirego, jednego z handlarzy i okrutni-

---

Z WARTY.

Jan odbywał straż dzienną przed koszarami. Chodził tam i napowrót z karabinem w ręku, spoglądając co chwila w górę na niebo, zaciągnięte od zachodu chmurami szaro stalowego koloru, od wschodu zaś jasne, perłowo słoneczne.

Powietrze było spokojne: zdawało się coś grozić...

Jan wzdychał głęboko, niepewny... Wreszcie przestał chodzić: stanął przed budką. Ptaki tuliły się do gałęzi drzew, strwożone, drżące, przeczuwając coś złego.

Naraz słup piasku, podniesiony na wysokość kilku stóp, zawirował w blizkości. Nagły, szalony, gwałtowny pęd wichru wzburzył ołowiane płaty chmur, nieruchomo rozpiętych od zachodu, porozrywał je na strzępiaste, nierówne szmaty i chaotycznym szeregiem pognał ku wschodowi.

Na prawo od budki, o pół ćwierci wiorsty drogi, po sypkim piasku z po za krzewów łoziny, wierzb i topoli, migał staw długi a wązki, obłożony po brzegach tatarakiem, rzęsą i białemi, wodnemi liliami.

Wiatr zmącił wodę. Wierzchołki drzew, pochylonych nad wodą, gięły się w kierunku powietrznego pędu: część gałęzi odpadała z łoskotem, przygniatając tatarak i rozrywając rzęsę.

Po obu stronach stawu zieleniały wilgotne łąki. Jedną z nich przecinał rów, zarośnięty gęstemi, wybujałemi, kwitnącemi trawami i krzakami.

Kilka minut ważyło się coś w powietrznej przestrzeni: słychać było w oddali łoskot, zbliżający się szybko...

Bydło, skubiące trawę na łąkach, wystraszone, z rykiem zbiegło pod gałęzie wierzb nad rowem i skryło się pod niemi, węsząc niespokojnie...

Zaczerniało naokół: o dwa kroki nie można było nic dojrzeć. Niebo całe okryło się jednolitym, ciemno szarym płatem, z po za którego nie przeglądał żaden jasny punkt.

Łoskot rozbrzmiał w całej pełni. Huczało, jęczało, wyło w powietrzu...

Kula gradowa wielkości orzecha obiła się z silnym stukiem o budkę, w której stał Jan z karabinem w ręku.

W sekundę miliony lodowatych bryłek zaczęły spadać ukośnie, łamiąc gałęzie drzew, uderzając o gontowe dachówki chałup, roztrzaskując je po drodze do miasteczka i o czerwone, murowane ściany koszar.

Woda w stawie zapiętrzyła się bałwanami: podrywały ją gwałtowne fale wichru, gnąc tatarak i trzcinę, zbijając rzęsę na brzegu w jedną gęstą masę, którą rozrywały chwilami wsteczne rzuty wody.

Ludzie patrzyli z okien na jednolite, ukośne smugi, łączące niebo z ziemią. Przechodnie poskrywali się w sieniach chałup. Wozy z końmi postawały na drodze pod płotami chłopskich zagród. Szarawa ciemność zaległa bliższe i dalsze krańce widnokręgu...

Szyby wypadały tu i owdzie z łoskotem.

Po kwadransie huragan przeszedł. Ciepłe, przesycone elektrycznością powietrze orzeźwiło się i oziębiło: można było oddychać swobodnie bez tej zmory, jaką rzuca na piersi duszący skwar przed burzą.

Perłowy blask od wschodu przeszedł w łagodne żółtawe światło, rozlewające się coraz szerszymi kręgami, które ogarnęły w końcu całą połowę firmamentu.

Gradowa chmura pomknęła dalej. Ciemne, oddalające się miarowo od zachodu ku wschodowi smugi oznaczały pas szalejącego tam orkanu.

Nad stawem i otaczającemi go drzewami, nad ławą piasku i dwiema łąkami, nad chłopskiemi chałupami i czerwonemi murami koszar rozlał się ciepły, pojednawczy blask pogody.

Bydło, skulone, wychodziło powoli z pod gałęzi wierzb. Ludzie stawali przed progami domostw.

ków arabskich, którzy znowu po swojemu urządzają białych, i kazał go powiesić. Rozległ się w całej prasie niemieckiej oklask; ale gdy mężny major doniósł, że wiesza dalej innych szkodników, uznano, że swą misyę cywilizacyjną spełnia zbyt gorliwie i zapewne polecono mu, ażeby przynajmniej od czasu do czasu przypomniał sobie szerzenie w Afryce „bojaźni bożej i dobrych obyczajów,“ których, jak wiadomo, Prusy mają nadmiar i mogą je exportować.

Dr. Peters, naczelnik drugiej wyprawy niemieckiej, który już kilkakrotnie umierał pod strzałami murzynów i przywracany bywał do życia, znowu zmartwychwstał i — jak świeża wieść głosi — wędruje gdzieś we wnętrze Afryki. Jeżeli ten awanturnik rzeczywiście nie zginął, można być pewnym, że długo zajmować będzie Europę, bo tacy ludzie przedewszystkiem umieją około siebie robić wrzawę.

Z powodu Afryki wynikł ostry a dotąd niezłagodzony jeszcze spór między Anglią i Portugalią. Trzeba posiadać cienkość linii lub nikłość mary, ażeby gdziekolwiek w koloniach europejskich nie zetrzeć się ze „sferą interesów angielskich.“ Nic więc dziwnego, że wysłannik portugalski Serpa Pinto drasnął tę sferę w Afryce. John Bull wbrew zwyczajowi zaczął gniewnie krzyczeć, grozić bombardowaniem Lisbony, uruchomieniem swej floty, a nawet podobno kazał zrobić groźną minę okrętom stojącym w Gibraltarze. Portugalia zażądała od swego winowajcy objaśnień, a od rządu angielskiego zwłoki w odpowiedzi na jego żądania. Z tej żyły krew się nie poleje, ale tymczasem się burzy i... wpuszcza w sprагnione nowin usta dziennikarzów krople ożywczej rosy.

Od zdrzemnięcia się ratują Europę niemcy i czesi, którzy podjęli układy o zgodę. Jedna strona wydelegowała najlepszych swoich gębaczów, druga — przewodników starych (młodoczesi zostali wyłączeni) a po nad tem koncylium unosić się będzie duch św. w postaci hr. Taaffego.

Prasa niemiecka przez święta zajmowała się prawie wyłącznie „pękaniem kartelu“ — ugody konserwatystów z narodowo-liberałami, którzy się serdecznie nienawidzą, a muszą podczas wyborów iść równym krokiem według komendy Bismarka. Jakkolwiek wola ta silnie ich spaja, co chwila jednak odwracają się od siebie ze wstrętem i złorzeczeniami. Wtedy „kartel pęka,“ ale ponieważ wybory do sejmu niemieckiego odbędą się dopiero za parę miesięcy, przeto narodowo-liberalni mają jeszcze dość czasu dla przygotowania się „do patryotycznego skoku przez kij rządowy“ — jak mówi jedna z gazet niemieckich.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

O WYSTAWIE PARYSKIEJ
ze stanowiska inżenieryi i przemysłu.

I.

Zadaniem inżeniera cywilnego jest zamieniać i zastosowywać wielkie źródła siły istniejące w przyrodzie do użytku i potrzeb człowieka. Tak określony został pierwotnie przez anglików zakres sztuki inżenierskiej i takim go widzimy w tysiącznych formach, mnożących się z każdym dniem w ciągu całego bieżącego stulecia. Inżenierya cywilna, poprzedzona wojenną i marynarską, jako zawód odrębny, wyłoniła się dopiero na początku bieżącego stulecia, pomimo że hydrauliczne prace francuzów i holendrów, kanały i drogi anglików już w przeszłym wieku doszły do bardzo wysokiego stopnia doskonałości. Obecnie postęp inżenieryi wszelkich gałęzi odbywa się tak w przyśpieszonem tempie, że technik niema prawa twierdzić, iż ten lub ów dzisiaj niezziszczony i ledwo w fantazyi poczęty pomysł ulepszeń czy wynalazków jest niewykonalny w zasadzie. Uzbrojony wiedzą, przestał suszyć sobie głowę wynajdywaniem za *perpetuum mobile*, a za to prędzej i łatwiej dosięga celów bliższych niezmierzonej doniosłości. Jako wyraz praktycznego i najpożyteczniejszego zarazem postawienia kwestyi służy hasło, które każdemu zaczynającemu inżenierowi długo wdrażać potrzeba: posługiwać się o ile możności tymi materyałami i środkami, które są pod ręką, nie goniąc, bez koniecznej potrzeby, za dalszymi i trudniejszymi do zdobycia. Technika i ekonomika podały sobie w osobie inżeniera ręce i sojusz między temi dwoma gałęziami wiedzy nie jest czczą przechwałką. Dwa bardzo szerokie objawy spółczesne, zdawałoby się, przeczą temu twierdzeniu. Z jednej strony widzimy ulepszenia w środkach *niszczenia*, które, pomijając czasowe prądy militaryzmu, są w gruncie rzeczy ulepszeniami środków *obrony*; z drugiej strony wojna papierowa wypowiedziana „maszynie,“ jako narzędziu społecznego rozstroju. Zwłaszcza ten drugi objaw, doprowadzony w dziełach ekonomistów do wyżyn skończonej teoryi, porusza głęboko umysły i wzbudza obawy o losy całej warstwy społecznej — stanu czwartego. Dla inżeniera wszakże, który wie, czem jest „maszyna“ i zna ów stan bliżej, ciągle z nim obcując, sprawa ta ma bezwątpienia mniej czarny wygląd, niż dla ekonomisty. Inżenier wie, że źle jest, gdy przemysł europejski wyzyskuje barbarzyńców; wie, jak trudno robotnikowi stać się właścicielem fabryki; wie o niepewności bytu i krążeniu robotnika bez pracy po rynkach zbytu jej — o przeładowaniu tych rynków towarem; lecz, z drugiej strony, wie też, ile dobrodziejstw dla całej ludzkości, a w tej liczbie i dla warstwy robotniczej, ta „maszyna“ przynosi. Miała ona obrońców w gronie ekonomistów, inżenier więc może nie powoływać się na znane motywy i poprzestać na twierdzeniu, że „maszyna“ jest właśnie owem narzędziem, za pomocą którego „wielkie źródła siły, istniejące w przyrodzie, zastosowane być mogą do użytku i potrzeb człowieka.“

Prawdopodobnie człowiek pierwotny, który miał łopatę, był równie przedmiotem zawiści tych, co jej nie posiadali, jak dzisiaj właściciel fabryki. Ludzkość cała wszelako, której genialne wynalazki pozwalają szybko się komunikować i unikać głodu, szerzyć coraz śpieszniej oświatę, zyskiwać coraz wyższy stopień wygody — ludzkość na „maszynę,“ oszczędzającą jej czas i pracę, skarżyć się nie może. Doktryna przeciwna osiąga polepszenie bytu upośledzonych warstw, i w tem leży jej zasługa, lecz w gruncie rzeczy sprzeciwia się zasadzie postępu.

To wyznanie wiary współczesnego inżeniera musiało stanąć w myśli niejednemu ze zwiedzających wystawę paryską. Przewaga w niej dział technicznych tak była stanowcza, że wszelkie wysiłki administracyi ku urozmaiceniu jej za pomocą zbiorów etnograficznych żywych, za pomocą ciał kobiet, dzieł sztuki, zbytków natury — nie zatarły jej zasadniczego charakteru. Było to wielkie muzeum przemysłu i techniki z dodatkiem muzeum sztuki. Widziano ostatni wyraz budownictwa, ilustrowany szeregiem budowli historycznych, przedstawiających rozwój architektury. Etnograficzne wystawy różnych ludów miały za

---

Powoli — wszyscy wracali do swoich zajęć. Przechodnie, zatrzymani w drodze przez nawalnicę, biegli dalej. Wozy ruszały z miejsca.

W pół godziny potem — tylko łąki i mokre pola, powyrywane tu i owdzie gonty dachów, powybijane szyby okien przypominały burzę.

Jan zrzucił z siebie płaszcz gumowy, którym się osłonił przed falami gradu i z karabinem na ramieniu, miarowym krokiem znów zaczął chodzić tam i napowrót.

W koszarach było pusto. Żołnierze nie wrócili jeszcze z musztry. Chłopi powyjeżdżali z pługami na pola. Z łąk dolatywały nawoływania pastuchów, spędzających bydło w oddzielne gromady. Ptaki, głośno szczebiocząc, sfruwały z gałęzi drzew, na których się poprzyczajały. Zresztą — spokojnie było, jak przed burzą, tylko jaśniej, żwawiej, weselej...

Jan spoglądał na łąki, na których majaczył jakby szron: resztki niestopniałego jeszcze gradu. Spoglądał na niebo, rozpogodzone, uśmiechnięte, zwiastujące ciszę do końca dnia.

Było mu dziwnie na sercu: niby się cieszył pogodą, a coś mu brakowało, coś bał się czegoś. Myślał sobie, że jeszcze jakieś złe wisi w powietrzu.

Przeżegnał się i mówił Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Boga i litanię do Pana Jezusa...

Skończywszy pacierze, znowu zaczął się rozglądać po niebie i po mokrej ziemi.

Myślał sobie, coby robił, żeby był na swobodzie i w domu — nie tutaj. Pytał sam siebie, czy i u niego — w domu — grad padał? Czy mu gontów na dachu i okien w chałupie nie powybijał, czy żyta nie potłukł?

Myślał sobie, jakby to on poszedł z pługiem, gdyby teraz był u siebie na zagrodzie; jakby ziemia pachniała po deszczu, jakby się ładnie rozsypywała przy oraniu, jakby ślicznie ziarno później na niej wzrosło!.. Myślał o matce, czy dobrze gospodarzy i daje sobie radę sama we wszystkiem? Myślał o Jagusi, z którą był po zrękowinach; o tem, jak się zagospodarują po ożenku, jak postawią sobie nową chałupę i dokupią gruntu za trzysta papierków, które Jagna dostanie na wiano od stryjków.

Chciało mu się podskoczyć i zaśpiewać z radości, a tu trzeba chodzić i chodzić równo, albo też stać w miejscu spokojnie, gdyż inaczej — ciężka kara!

Strasznie go dziś nudziła straż przed koszarami, tak, jak jeszcze nigdy. Kilka godzin upłynęło zaledwie od chwili, jak był na warcie, a zdawało mu się, że już chyba trzy razy słońce skryło się i wstało, odkąd tu przyszedł.

Czy go już nie zmienią dzisiaj?

Zegar w koszarach wydzwonił piątą godzinę. Jan przeliczył sobie na palcach, ile ma jeszcze czekać. Westchnął ciężko.

Strach, jak mu się dłużyło!

Czy go co urzekło?

Nieraz przestał cały czas w miejscu, nie wiedząc nawet o tem, zdziwiony, gdy już przychodziła zmiana. Dziś — ciągle jej wyglądał, zniecierpliwiony, niespokojny.

Przed burzą myślał, że go tak cni na deszcz i na grzmoty. Mówił sobie: „jak burza minie, to i ode mnie złe odstąpi...“ Tymczasem — gdzie tam! Dłużyło mu się i dłużyło teraz, jak i przed godziną!..

W rozmaite punkty wzrok zwracał. Patrzył to na puste koszary, to na drogę, prowadzącą do miasteczka, to na staw zmącony i kołyszące się nad nim gałęzie drzew, to na łąki i bydło, skubiące trawę daleko, prawie na granicy zoranego pola.

Nic go nie mogło rozerwać. Przekładał karabin z ramienia na ramię i chodził wciąż przed budką i murami koszar.

W końcu — zamyślił się głęboko. Gdyby go ktoś rozbudził w tej chwili, nie byłby umiał powiedzieć, co mu krążyło po głowie.

Patrzył ciągle przed siebie, ale nic nie widział.

Nikt nie przechodził ani koło niego, ani w bok, przez drogę. Żaden głos silniejszy nie dolatywał tak z bliskości, jak i z odda-

główny przedmiot płody surowe, lub obrobione swych krajów. Koleje, marynarka, wojna, balony, posiadały również rodowód w postaci dawnych środków przewozowych obok najnowszych wynalazków. Wreszcie różne gałęzie pracy fabrycznej, rękodzielniczej i rzemieślniczej upostaciowały się w płodach najnowszych i dawnych zabytkach. Wystawa ostatnia przewyższyła o wiele pod względem mnogości i doniosłości wynalazków poprzednią z r. 1878. Takie wrażenie, poparte zestawieniem książkowem, wynieśliśmy z własnego obejrzenia obu.

Dla inżeniera było to żniwo wiedzy tak obfite, że niejeden z nas, wydawszy ostatni grosz na wyjazd do Paryża, po powrocie miał nieprzepartą żądzę jechać powtórnie i — uczyć się. Nie pojmował, jak można lekceważyć to wielkie święto wiedzy technicznej, od którego wielu, nieznających języka i przygnębionych ruchem tego ludzkiego mrowiska, uciekało. Znamy takich. W istocie, znalazłszy się tam, trzeba było panować nad czasem i na wodzy trzymać uwagę, żeby módz z pożytkiem w obranym zakresie pracować. Wszystkie narody i ludy wysłały tam swoich synów, którzy wyrażali zachwyt na widok tych wspaniałych dzieł pracy ludzkiej, a białorusin ze swoim przeklętym przyjemysłem, ujrzawszy je, wołał „w zachwyceniu zostałem się od tego, to rozkosz co takiego.“

Na ten rozkwit wspaniały techniki Zachodu złożyły się tysiączne okoliczności, które tylko wymienić w głównych rysach możemy. Zaczniemy od urządzeń społecznych, które dają szerokie pole inicyatywie, a z drugiej strony, obok swobody, zapewniają poszanowanie własności. To ostatnie zresztą przeszło już w krew i kości jednostki, więc mniej zasług w tym względzie przypisać należy instytucyom, niż wyrobieniu się społecznemu— mniej środkom, niż ludziom. Uszanowanie praw własności i wogóle praw cudzych jest niezbędnym warunkiem rozwoju przemysłu. Dlatego to nie można odmówić słuszności ustawom nader surowym, jakiemi rząd krajów nieucywilizowanych prześladuje grabieże. Paryż sam mniej daje pola do spostrzeżeń dodatnich, niż prowincya, a zdaje się, że francuz mniej od niemca. Widzieć w Niemczech złożone pod otwartem niebem, zamiast pod kluczem, drobne części zapasów kolejowych jest rzeczą zwykłą. Całe lata spoczywają one nietknięte. Za poszanowaniem praw idzie zamiłowanie porządku, bez którego przemysł wielki jest niemożliwy.

Uczciwość w handlu, poszanowanie praw cudzych, porządek — na podwalinie takich tylko pojęć, wkorzenionych w umyśle każdego obywatela, mógł się rozwinąć olbrzymi przemysł, którego kwiatem była wystawa.

Drugim rysem ogólnym a znamiennym jest pracowitość ludności wogóle, a zwłaszcza tej, która z pracy żyje. Za daleko zaprowadziłoby nas przytaczanie jej wzorów, na każdym kroku spotykanych w Paryżu. Wytwórczość robotnika fabrycznego lub rzemieślnika, wysoki stopień uzdolnienia i specjalizacya jest dalszym ciągiem owej zalety, którą walka o byt w społeczeństwie zachodniem wyrobiła. Na to się wieki złożyły, więc próżno byśmy marzyli o *naśladowaniu* tych właściwości na naszym gruncie. One to wszakże dają cudzoziemcowi przewagę w naszym przemyśle. Jeżeli zestawimy ilość pracy robotnika zachodniego z tym nizkim procentem, jaki dają mu kapitały, to musimy przyjść do przekonania, że nasze przedsiębiorstwo i nasz robotnik nie mógłby istnieć na zachodzie Europy.

Za trzeci rys znamienny, który zaraz po wyrobieniu się i biegłości zachodniego robotnika umieścić należy, uważamy wysoki poziom wiedzy technicznej i w parze z nim idącą przedsiębiorczość. Niezrównaną w tym względzie ilustracyę przemysłu zachodniego stanowi wieża Eiffla. Obok techniki, która, idąc krok za krokiem, zdobyła się na takie doskonałe procesy, jak te, którym zawdzięcza swój byt ta budowla; obok, mówiąc, technicznej idei wieży, która nie jest żadnym genialnym wynalazkiem, lecz dalszym ciągiem dzieł podobnych poprzednich—mamy do podziwiania w wieży ideę ekonomiczną. Ta ostatnia będzie łatwo zrozumiałą, jeżeli uprzytomnimy sposób postawania *u nas* przedsiębiorstw. Śmiało możemy powiedzieć, że u nas nikt nigdy nie szuka urzeczywistnienia w nich nowej myśli. My robimy coś wtedy, gdy nas do tego zmusza natura, czyli mówiąc prościej—potrzeba. Nikt u nas nie może wskazać dzieła technicznego, które byłoby wyrazem narzucenia się sztuki naturze. A gdy natura nas zmusi, robimy nie to, co dyktuje samodzielny umysł, oparty na znajomości warunków miejsca i czasu, lecz to, co robią gdzieindziej. Idziemy szlakiem przez innych utartym. Jakkolwiek ci, co się gapią, mało widzą, jednak dla nas gapiących się na wieżę Eiffla i przygnębionych jej ogromem — jest ona niebywałym dotychczas wyrazem zapanowania sztuki nad naturą, inicyatywy nad stosunkami ekonomicznymi. Niejeden z nas, zasiedziawszy się kilka lat w okolicy pozbawionej przemysłu, zdala od kraju, powtarza sobie, że do Królestwa niema po co jechać inżenierowi. Warszawa, względem takiego np. Witebska, tak jest uposażona w wygody życia i siły techniczne, że jedne drugim nietylko wystarczają, lecz jest nawet nadprodukcya techników. Dopiero gdy taki robak prowincyi stanie pod wieżą — poznaje, że jest jeszcze po co pojechać i osiąść bodajby w samej w Warszawie, i że można jeszcze znaleźć tam co do roboty, choćby żaden francuz albo niemiec takiej wieży w Warszawie nie zaczął budować.

W dalszym ciągu wypada nam zatrzymać się nad znaczeniem materyałów surowych, które złożyły się na główne budynki wystawowe.

Rozwój przemysłu żelaznego w ciągu całego bieżącego stulecia doszedł do takich rozmiarów, że stawianie z żelaza wielkich budowli — piramid nowożytnych, nie może dziwić technika. Ceny żelaza na Zachodzie są znacznie mniejsze, niż u nas. W miarę jak posuwamy się ku zachodowi, wartość tego metalu znacznie się obniża, a wzrasta wartość drzewa. Już w Niemczech północnych widzimy stare, żelazne materyały kolejowe użyte do osłaniania plantu od zamieci śnieżnej, jak np. szyny, zamiast słupków. W Belgii i Francyi północnej spadły ceny szyn stalowych do tego stopnia, że w r. 1884 fabryki Denain Anzin dostarczały kolei państwowej *rumuńskiej* szyny po 148 fr. za tonnę, czyli po 2 fr. 50 cm. za pud. Tymczasem w roku przeszłym „Huta Bankowa“ w Dąbrowie uznała za niemożliwe zajmować się nadal wyrobem szyn, ponieważ fabryka Hughes'a (Zuza) w południowej Rosyi obniżyła cenę puda do 1 rs. 51 kop. na miejscu (*loco* fabryka). A jednak cena ta jest półtora raza, według teraźniejszego kursu, większa od ceny szyn francuskich!

Cena żelaznych części wieży Eiffla z ustawieniem wynosiła po 9 fr. od puda, podczas gdy przy naszej taniości robotnika, małe mosty kolejowe wyrabiają fabryki warszawskie *minimum* po 4 rs. za pud. Cóż przeto dziwnego, że mając na północy i na południu od Paryża mnóstwo żelaza, doskonały kamień do fundamentów przy północnej drodze żelaznej, o kilka godzin jazdy od stolicy, tamże ogromne fabryki produktów zwanych *produits refractaires*—Paryż mógł wybudować u siebie wieżę, hallę machin i kilka innych pałaców z żelaza i szkła, w czem widzi p. Melchior de Vogüé początek nowej epoki budownictwa. Do wieży użyto około 400,000 pudów żelaza. W Królestwie Polskiem, w 1887 roku, produkcya wszystkich fabryk żelaznych wynosiła prawie 4 miliony pudów, w tej liczbie „Huta Bankowa“ w Dąbrowie 759 tysięcy pudów; „Katarzyna“ w Sielcu 822 tys. p.; „Koszyki“ w Warszawie 670 t. pudów, a trzy mniejsze fabryki Królestwa „Milowice“ (w gub. piotr.) i „Nietulisko“ oraz „Bodzechów“ (w gub. radom.) każda wyrabiała w tym roku o mało mniej żelaza, niż poszło na wieżę. Tak się przedstawiają cyfry, dające pojęcie, czem jest przedsiębiorstwo wieży w stosunku do naszego przemysłu.

Oprócz wymienionych już warunków, wśród których jak kwiat lotosu strzeliła wieża paryska, mielibyśmy wiele do powiedzenia o znaczeniu bogactwa fantazyi francuskiej; o znaczeniu reklamy w podobnem przedsiębiorstwie jak wystawa; o pierwszeństwie Paryża, jako ogniska wszechświatowych zabaw, fasonów i mody; o sprzyjających wielkim robotom warunkach pogody. Eiffel w swojej mowie inauguracyjnej, jako prezes Towarzystwa inżenierów cywilnych, zrobił wzmiankę, że w Rosyi w ciągu roku tylko 135 dni jest, z powo-

---

lenia. Świergotały tylko ptaki, szumiały gałęzie drzew, zaczynały brzęczyć muchy w powietrzu, ale Jan tego nie słyszał.

Zdawało mu się tylko, że, kiedy w ustawicznej swojej wędrówce przed budką, zawrócił na prawo, cień żebraczki, podążającej od strony miasta ku brzegowi stawu, zamajaczył mu przed oczami.

Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego: patrzył nieświadomie; wzrok nie odbijał wrażeń w mózgu.

Zresztą — tyle razy już o tej samej porze ta sama postać przesunęła się przed jego wzrokiem!

Chodziła zawsze rano i po południu z miasta ku wsi, nad staw, pod topolę, do pnia której był przybity cudowny obrazek świętego Rocha, znaleziony przez jakiegoś chłopaka na drodze, niedaleko od owej topoli.

Gromada dzieciaków najczęściej biegła za i przed obdartą, bosą kobietą, wołając: „Domicela, a gdzie twój papież? Czy list już przyszedł od niego do ciebie?“

Szarpały ją za suknię, ciskały kamieniami w bose, chude jej nogi, sypały piasek w nieprzytomne oczy.

Ona — rozkrywała chustkę, którą była okutana i, wywijając długiemi, kościstemi rękami, broniła się, jak mogła. A gdy ją napastowano bardziej niż zwykle, podnosiła dłonie do góry, ściskała niemi skronie i całym pędem biegła nad staw, ku topoli, wołając: „święty Rochu, ratuj mnie, ratuj!“

Chustka spadała jej z ramion; spódnica plątała się u nóg.

Padła nieraz na drodze, nim zdołała dobiedz.

Wówczas — dzieci podnosiły ją, zarzucały jej chustkę na plecy i zostawiały ją w spokoju, wołając tylko za nią: „A pomódl się do świętego Rocha, żeby ci rozum wrócił i żeby papież najprędzej po ciebie przyjechał.“

Dziś— dzieci były zajęte zbieraniem nieroztopniałych jeszcze gradowych kulek. Domicela szła sama: nikt nie biegł ani przed nią, ani za nią. Pomimo to — oglądała się co chwila trwożliwie dokoła siebie, jakby wypatrując, czy jej kto czego złego nie zrobi.

W połowie drogi stanęła i, obejrzawszy się jeszcze raz za siebie, klękła przed drewnianym krzyżem, trochę już spróchniałym i mocno ku ziemi pochylonym.

Odmówiła spokojnie z oczami, w niebo wzniesionemi, Ojcze nasz i Zdrowaś Marya, odśpiewała litanię do Pana Jezusa i Matki Boskiej, żegnała się i biła w piersi długo, a potem — raptownie wstała.

(D. n.).

du zimna, przydatnych do robót budowlanych — itd. itd. Wszystkie te okoliczności jeszczeby nie wyczerpały porównania, bowiem zostałyby przywileje rasy, starszej cywilizacyi itd., kategorye, które za daleko odbiegają od szczupłego zadania naszego.

Witebsk.

A. Pawłowski.

LISTY Z NAD BALTYKU.

Otwarcie nowych sądów okręgowych w Rewlu, Rydze, Libawie i Mitawie. — Reforma sądownictwa. — Mowy p. ministra sprawiedliwości. — Zachowanie się ludności ruskiej, łotewskiej i estońskiej. — Opinie prasy. — Historya powstawania reformy sądowej. — Sprawy rad miejskich. — Wiadomości bieżące.

W Rewlu, Rydze, Mitawie i Libawie, p. minister sprawiedliwości, Manassein, otworzył uroczyście sądy okręgowe oraz ogłosił za otwarte sądy pokoju w guberniach nadbałtyckich. Te dla stosunków miejscowych wielkiej doniosłości fakty odbywały się szybko, jeden za drugim. W Rewlu ceremonia spełniła się dnia 2 grudnia, w Rydze — 10, w Mitawie — 12, a w Libawie — 15.

P. ministrowi w wycieczce jego towarzyszyła liczna świta urzędników, przybyłych z różnych stron, umyślnie w tym celu. Byli w tem gronie pp. mistrz dworu, dyrektor kancelaryi ministeryum Kazem-Bek, dyrektor departamentu Kobyliński, starszy prezes moskiewskiej Izby sądowej Zawadzki itd. Mowy p. ministra, wygłaszane przy tej sposobności, zawiadamiały, że z woli Najwyższej reforma sądowa Cesarza Aleksandra II darowaną zostaje obecnie i krajom nadbałtyckim a „niewątpliwie przyczyni się do rozkwitu i rozwoju kresów baltyckich, na drodze spokojnego życia obywatelskiego, i będzie współdziałała dalszemu zjednoczeniu się tych dzielnic z innemi częściami wspólnej, kochanej ojczyzny.“ Dalej zwracał się p. minister do nowo mianowanych urzędników, wzywając ich, aby, prócz spełniania powinności, żywili miłość dla sprawy, której działalność swą poświęcają. „Spełniajcie zawsze obowiązki służby w całej ich rozściągłości, stójcie mocno i wytrwale na straży prawdy i prawa, trzymajcie wysoko sztandar ruskiego sądu państwowego.“ W mowie wypowiedzianej w Mitawie, p. Manassein przypomniał historyę, mianowicie, że dnia 27 kwietnia 1795 r., lenne względem Polski, Księstwo Kurlandzkie weszło w skład państwa ruskiego; wówczas ogłosiła Cesarzowa Katarzyna II całej ludności, że Kurlandya „korzystać będzie ze wszystkich tych praw i przywilejów, jakimi się cieszą, z łaski Najwyższej, dawni poddani ruscy.“ Nowa reforma jest jakby stwierdzeniem tego przyrzeczenia.

Wieczory podczas otwarcia sądów spędzał p. minister w miejscowych klubach ruskich, gdzie urządzano dlań stosowne przyjęcia. W Rewlu profesor wszechnicy dorpackiej, p. Wiskowatow wygłosił okolicznościowy wiersz p. n.: „Sąd ruski.“ P. ministra spotykały wszędzie deputacye od towarzystw ruskich, łotewskich i estońskich, wręczając mu adresy, w których wypowiedzianą wdzięczność za przekształcenie sądownictwa.

Dnia poprzedzającego otwarcie sądów nowych odbyły się ostatnie posiedzenia dawnych, poczem w kościołach luterskich odprawiono stosowne nabożeństwa.

Reformę powyższą przyjęła prasa ruska, łotewska i estońska z najwyższym zachwytem. *Rižskij Wiestnik* pomieścił dwa wstępne artykuły, tłomacząc się w drugim, że, z powodu choroby redaktora, pierwszy niedość jaskrowo odmalował radosne następstwa tej reformy. Uważa on, że obecne stanowisko organu ruskiego w Rydze wymaga szczególnej pracy i nakładu, więc wychodzić zaczął w zwiększonym formacie. Opinię łotyszów obrazuje dosadnie artykuł pisma *Postimees*: „Z dniem dzisiejszym kończy się wszystko stare, a zaczyna się wszystko nowe. Nasza ojczyzna od dnia tego inny będzie miała wygląd. Ci, w których rękach dotąd leżała sprawiedliwość i rządy, stracili swą władzę: sądzić będą mieszkańców naszej ojczyzny osoby, mianowane przez wyższą władzę państwową. Okoliczność to bardzo ważna. Co powiedzieć nam wiernym poddanym Tronu o tej reformie? Chyba nic więcej, jak wykrzyknąć z całego serca: „niech żyją nowe sądy i instytucye! Niech im łatwo będzie szerzyć sąd i prawdę, karząc winnych, broniąc niewinnych! Niech żyją nowi państwowi dojstojnicy! Niech będzie błogosławioną ich praca na korzyść naszej drogiej ojczyzny! Niech żyją po tysiąc razy!“

Niemiecka prasa nie wychodzi z tonu informacyjnego. Większość niemców oddawna wprawdzie reformy tej pragnęła. Pozbawienie atoli ich inicyatywy ostatecznego wprowadzenia jej w czyn, oraz niektóre okoliczności, składają się na zajęcie przez ich prasę w tej sprawie stanowiska względnie biernego.

Reforma sądownictwa nie zjawiła się tu niespodziewanie. Jest ona w bezpośrednim związku z ogółem przekształceń, jakie w kraju nadbałtyckim rząd przedsięwziąć oddawna zamierzał. Już w r. 1850 wydano rozkaz, na zasadzie którego tylko urzędnicy obeznani dokładnie z językiem państwowym posady rządowe obejmować mogli, przepis ten stwierdzono w r. 1867, następnie w r. 1869, na zasadzie raportu generała Albedyńskiego, uznano za stosowne, ażeby w instytucyach, w których urzędnicy są mianowani przez rząd, wszelkie sprawy były załatwiane po rusku; język niemiecki miał być tolerowany tylko w instytucyach, gdzie urzędowały osoby z wyborów.

Sprawa reformy sądownictwa w prowincyach nadbałtyckich oddaną została pod rozpatrzenie komisyi, w której przewodniczyli ks. Bagration i b. minister sprawiedliwości hr. Pahlen. Według ich opinii w sądach pokoju kraju tutejszego dwa języki — ruski i niemiecki miały być równouprawnione; przyczem jednak protokoły i korespondencya kancelaryjna prowadzone być miały w języku niemieckim. Osobna z Rady państwa wydelegowana komisya projekty te badała i przyszła do wniosku, iż przeczą one rozkazom z lat 1869 i 1877. Podała tedy ze swej strony projekt, według którego w sądach winien język ruski być obowiązkowym, z wyjątkiem podań piśmiennych i zeznań ustnych, które mogą być uskuteczniane w językach miejscowych. Projekt ten opiera komisya na wniosku, iż, nie krępując miejscowej ludności, niedość obeznanej z językiem ruskim, należy mu, jako państwowemu, bądź co bądź odpowiednie wyznaczyć stanowisko.

Rada państwa atoli (w maju r. 1880) rozszerzyła jeszcze w tym projekcie rolę języków i narzeczy miejscowych, dozwalając świadkom i biegłym przemawiać według woli.

Przepisy z r. 1885 inaczej bieg rzeczy skierowały. Zamiast sędziów z wyboru i sądów przysięgłych powstać miały sądy takie jak istniejące w kraju połud.-zachodnim i w Królestwie Polskiem.

Najważniejszy wzgląd, według opinii prasy, że urzędnikom z wyborów język państwowy będzie obcym, został usunięty, gdyż obecnie mianuje ich rząd. Dalej, przypuszczają (np. *Riž. Wiest.*), że gdyby wybór języka, w jakim na sądzie przemawiać należy, w zupełności zależał od stron, świadków i biegłych, to zawsze oddaliby oni pierwszeństwo ojczystemu, co z drugiej strony wyznacza w sądzie państwowym językowi ruskiemu zupełnie nieodpowiednią rolę.

Oto rys krótki motywów i poglądów, które się złożyły na obecny całokształt sądownictwa nadbałtyckiego.

W dziedzinie pragnień miejscowych niemniej chyba doniosłem jest przed kilku dniami ogłoszone prawo, zastosowane natychmiast, według którego w radach miejskich, na razie tylko rewelskiej, ryskiej i mitawskiej, rozprawy odbywać się winny tylko w języku państwowym. Nadto, polecono zawiesić specyalny przepis, nadający w miastach tych godność wyborcy każdemu, kto ukończył wyższy kurs nauk i wniósł do kasy miejskiej rs. 3 wkładki. Stan tego rodzaju osób był licznym, zwał się „Literaten-Stand“ i wpływał silnie na przebieg wyborów do rad miejskich.

Wskutek powyższego przepisu zarząd miejski (Stadtamt) w Rydze podał się do dymisyi. Rada miejska (Stadtverordnetenversammlung) postanowiła, wobec blizkości nowych wyborów do rady miejskiej, zarząd zatrzymać, udzielając jego członkom rubli tysiąc na koszt utrzymywania przez ten czas tłomaczów. P. prezydent miasta Rygi, Oettingen, z innych powodów opuścił dotychczasowe swe stanowisko.

W dniu otwarcia sądu okręgowego w Mitawie wyszedł tamże pierwszy numer nowego pisma *Pribaltijskij Wiestnik*. Zakreśla ono sobie „narodowo-historyczną ruską drogę.“ Zwraca uwagę w artykule programowym, iż prowincye tutejsze, zasklepione same w sobie, obce były wszelkim objawom postępu, jakie w Rosyi się przejawiły. Ostatnie reformy spowodowały zmianę. Skutek powyższego jest widocznym: „Podniosło się stanowisko i urok imienia ruskiego, zewsząd ukazały się zaczątki samodzielnego życia ruskiego, oświaty ruskiej; czuć się w kraju daje duch ruski, i świeżymi, zdrowymi strumieniami płynie, bez przeszkód, mowa ruska itd.“ Celem pisma jest dążenie do stworzenia „nie zewnętrznej równości form i urządzeń życia w Cesarstwie i na kresach, ale zasad silnych i żywotnych, któreby części te państwa w jedno łączyły.“

Podobno Warszawę obecnie nawiedziła epidemia, która u nas, w Rydze zatamowała, na razie, wszelkie upływy życia publicznego. Influenza wraz z towarzyszącymi jej zapaleniami oskrzeli i płuc, chorobami gardła i dysenteryą rozpostarła się tutaj tak szeroko, że szkoły, teatry itp. na zbiorowisku licznejszem ludzi oparte instytucye świecą obecnie pustkami. Biedne nasze Towarzystwo dobroczynności dotknęła boleśnie w najgorętszym czasie jego żniw ta „brzydka“ słabość. Bazar doroczny odwiedziła połowa zwykłych gości, teatr polski umarł jeszcze przed powiciem przez komitet całkowitego personelu. W sprawie influenzy ogłosił mieszkający tu dr. Józef Dubicki ciekawe artykuły, zapoznające czytelnika z konieczną hygieną w czasie tej choroby oraz z ciekawą zaiste jej historyą.

R.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NOWOCZESNY PRĄD MONOPOLOWY.

Przed kilku miesiącami pisma nasze doniosły, że jedna z potęg przemysłu górniczo-węglowego usiłuje wytworzyć odpowiedni kartel (tj. solidarny związek pomiędzy właścicielami kopalń węgla) w celu podwyższenia tą drogą cen produktu opałowego. Pogłoska ta wywołała dość silne oburzenie. Że niepokój był zupełnie słuszny, możnaby łatwo dowieść licznymi przykładami, zaczerpniętymi chociażby z Austryi.

Uczestnictwo w kartelu jest tutaj równoznaczne z systematycznym rozbojem, popełnianym na spożywcach. Zresztą najlepsze świadectwo, że pod płaszczykiem syndykatów i karteli mamy często do czynienia z bardzo brudnemi sprawkami, stanowi okoliczność, iż starannie ukrywają one przed światem tajemnicę swego istnienia, jak to widzimy np. na związkach austryackich piwowarów i cukrowników. Dopiero jakiś przypadek odkrywał obecność zmowy. Atoli gdyby chodziło jedynie o dorzucenie swego głosu do ogólnego chóru, nie bralibyśmy jeszcze pióra do ręki. Inna rzecz skłania nas do tego, mianowicie, iż ruch pokrewny zmowie naszych węglowców wzrasta wszędzie, wyłaniając przytem nietylko spiski przeciw społeczeństwu, i wraz z innymi tego samego rodzaju objawami znamionuje nastanie wprost nowej ery ekonomicznej. Ażeby scharakteryzować stan rzeczy w tej mierze, powołamy się na kilka przykładów z ostatniej chwili. Na zjeździe (przed rokiem) brytańskiego Stowarzyszenia dla postępu wiedzy, Foxwell, profesor londyńskiego University College, miał mowę, potrącającą o tegoczesne zagadnienia ekonomiczne. „Po wieku całym, który upłynął wśród najczynniejszego i w najwyższym stopniu wyuzdanego współzawodnictwa, jakiego świat jeszcze nie oglądał dotychczas, przed ekonomistami naszej doby ukazuje się nowe a nader ważne zadanie: rozwój i przyszłość monopolu." Nadano tutaj słusznie kartelowi pojęcie szersze. Rzecz ciekawa, że sam mówca, mimo że jest wigiem, głosuje za monopolem, a raczej przyjmuje konieczność jego nastania.

A teraz udajmy się na wstępną lekcyę Luja Brentano, którą miał ostatnią wiosną w Lipsku, zajmując opróżnioną po Roscherze katedrę nauki ekonomicznej. Rozpatruje on, gdzie szukać przyczyn dzisiejszej nędzy i znajduje w zaburzeniach rynkowych i anarchii wśród produkcyi. „Kiedy teoretycy toną w jałowem wyszukiwaniu środków, z łona samego życia, z pośród potrzeb praktycznych rodzi się nowa organizacya, która dąży do zniesienia przesileń z ich nieodzownem następstwem — nędzą. Są to kartele."

Jest to jednak jeszcze głos umiarkowany. Przerzućmy stronice miesięcznego organu, wydawanego w Wiedniu przez Vogelsanga, a będącego wyrazem feodalno-chrześciańskich społeczników, i znajdziemy tam w ostatnich czasach jeszcze przychylniejsze sądy. „Jak w naturze roślinnej, podobnie w społeczeństwie ludzkiem tkwi silna zdolność samoleczenia, która uzdrawia niedomagania i skaleczenia.. Kartel jest fazą przedwstępną, którą przebywa wielki przemysł, aby wejść na drogę obowiązkowej stanowości; jest on objawem do wyrwania się z objęć anarchii teraźniejszej..."

Przytoczyliśmy kilka wyjątków, świadczących o nadziejach pokładanych w kartelach. Z podanych sądów najwyższą uwagę zwraca na siebie mowa Foxwella. Brentano i miesięcznik Vogelsanga witają te urządzenia jako środek, który winien zapobiedz społecznym skutkom maszyny. Tymczasem statysta angielski, zamiast wypowiadania życzeń, usiłuje przewidzieć formułę dalszego rozwoju ekonomicznego. Z pewną przykrością widzi, że zawiera się ona w monopolu. I zaiste niepodobna nie zgodzić się na jego wywody, że gwałtownie staczamy się w tym kierunku. Jest to w najzupełniejszej zgodzie z całokształtem nowoczesnego postępu ekonomicznego. Współzawodnictwo rynkowe jest widownią wybijania się nielicznych a zasobniejszych w fundusze kapitalistów i upadku całej rzeszy drobnych przedsiębiorców. Zwycięztwo należy się pierwszym, gdyż oni są w stanie wprowadzać różne ulepszenia techniczne, obniżające koszta produkcyi, oraz wytrzymać dłużej okres zastoju. Wskutek tego powstają coraz bardziej olbrzymie zakłady przedsiębiorcze. W Chicago mamy np. magazyny krawieckie, z których jeden zajmuje cały dom siedmiopiętrowy, długości od frontu 100 stóp, głębokości zaś 150. Bezwarunkowo jest to swojego rodzaju monopol, który wyrósł na ruinach tysiąca i być może więcej drobnych warsztatów krawieckich. Całe życie ekonomiczne pcha tegoczesną społeczność po tej drodze. Co więcej, takie ogromne przedsiębiorstwa są w niektórych gałęziach wprost koniecznością techniczną. Można tutaj wskazać koleje żelazne, siecie telefoniczne, agentury nowin politycznych, doki okrętowe. Należy także pamiętać, że każdy taki monopol nowoczesny powołuje do życia mnóstwo innych. W interesie drogi żelaznej spoczywa, aby miała do czynienia z najmniejszą liczbą klientów, prowadzenie ksiąg, rachunków itd. doznaje znacznego wtedy uproszczenia. Dużym kantorom transportowym daje ona większe ustępstwa i przyczynia się do ruiny mniejszych; stwarza na swoich krańcach olbrzymie hotele; wzdłuż swego biegu wywołuje monopole księgarskie itd. To samo widzimy na każdym kroku. Śmiało można się zatem zgodzić z Foxwellem, że po stuleciu wolnej konkurencyi nastaje wiek monopolów. A kiedy dawne wynikały jedynie z przywileju prawnego, nowoczesne tkwić zaczynają w warunkach technicznych i ukazują się w następstwie zastosowania lepszych metod produkcyi. I zatrzymać ruch w tym kierunku da się tylko przez stworzenie monopolu drobno-cechowego, dzięki swoim drobnowidzowym rozmiarom niedozwalającego na kontrolę państwową! Mniejszem przeto złem jest monopol wielki, umożliwiający wglądanie państwa i tańszą produkcyę. Z tego powodu można zrozumieć owych ekonomistów amerykańskich, o których wspomina profesor londyński, co pogodzili się z myślą, że przyszłość należy do monopolu, i zamiast występowania przeciw niemu, poszukują w prawodawstwie środków zaradczych, zdolnych powstrzymać nowoczesnych monopolistów od nadużyć. Otóż kartele amerykańskie są dotychczas ostatnim wyrazem w rozwoju centralizacyi przemysłowej i stwarzaniu nowożytnego monopolu *). Zresztą ruch kartelowy przybrał i w Europie dość szerokie rozmiary. Wprawdzie jeśli zapytamy statystyki o odnośne cyfry, wysunie ona dość niepokaźne. Okaże się, że np. w Anglii istnieje około 10, w Austryi do 20, w państwie niemieckiem przeszło 50 karteli. Tymczasem natężenie ruchu jest daleko silniejsze i powyższe liczby podają tylko statystykę zmów, dążących do zmniejszenia wzajemnej konkurencyi i ustalenia cen produktu. Lecz zatrzymajmy się nad Francyą. Mamy tutaj na początku niniejszego roku aż 942 syndykatów pomiędzy „patronami." Przedsiębiorcy tego samego zawodu łączą się w związek dla obrony i popierania interesów. Idzie o poznanie stanu rynku i odpowiednie normowanie produkcyi, nabycie i rozpowszechnienie ulepszeń, usunięcie przekupniów i wejście w bezpośrednie stosunki z nabywcą, wreszcie o odpowiednie rozdzielanie zamówień pomiędzy członków syndykatu i o solidarne działanie w celu podwyższenia cen i usunięcia niepewności. Jak widzimy, różnica pomiędzy syndykatami a właściwymi kartelami polega jedynie na tem, iż cele, właściwe ostatnim, wchodzą tylko jako cząstka, zwykle milczeniem pomijana, w program pierwszych. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy, lubo na pozór osłabia rozmiary ruchu kartelowego, któremu przypisują jedynie dążność do ograniczenia konkurencyi pomiędzy przedsiębiorcami. Lecz jest to charakter właściwy tylko Staremu lądowi. Powstaje w ten sposób monopol, który nie jest jeszcze koniecznością *techniczną*. Przeciw niemu prawodawstwo może skutecznie wystąpić, jako przeciw zmowie zakładów technicznie niezależnych. Być może, kartele europejskie zatrzymały się na tej postaci i nie poszły dalej, ponieważ muszą się borykać z brakiem prawnego zabezpieczenia. Jedyną bowiem spójnią pomiędzy kartelowcami jest wzajemne zaufanie, że każdy z pośród stowarzyszonych dotrzyma zobowiązania. Jest to jednak krucha podstawa. To też póki czasy są ciężkie, zmowa istnieje. Ale niechno któremuś uśmiechnie się nadzieja obfitego łupu, zrywa pokryjomu słowo. Ani jeden z karteli niemieckich nie umarł dotychczas śmiercią naturalną, tj. doczekawszy się wyznaczonego terminu. Zwykle rozpadają się one przed czasem, często na wieść, że któryś kartelowiec gotów przeniewierzyć się. We Francyi próbowano przeniewiercę ścigać sądownie, ale sądy odmówiły przyjęcia skargi, jako mającej na widoku cele nielegalne... W tych warunkach kartele z konieczności musiały pozostać jedynie zmowami przeciwko spożywcy, bez spoidła technicznego. Co najwyżej posuwano się do stworzenia wspólnego kantoru zamówień i sprzedaży. Atoli w Ameryce, gdzie podobne związki pod nazwą „trustów" znalazły formę prawną, przybrały one inny wyraz. W ostatnich dwóch latach parlamenty stanów New-Yorku i Massachusets oraz ogólnopaństwowy wyłoniły specyalne komisye dla zbadania sprawy i wyciągnięcia karteli na widok publiczny; na brak materyału niepodobna się przeto skarżyć. Istnieją tutaj związki tak olbrzymich rozmiarów, że trudno uwierzyć, jak „Oil raffineries trust" i „Sugar Company." Opierają się na następującej podstawie. Akcyonaryusze składają swe akcye na określony w kontrakcie termin w ręce kilku wybranych ku temu osób, tak zwanych „trustee" (opiekuni), natomiast otrzymując odpowiednią ilość studolarowych certyfikatów. Akcye spoczywają nieruchomie jako depozyty, tymczasem certyfikaty mogą krążyć na giełdzie i zmieniać właścicieli, dając tym ostatnim jedynie prawo do pobierania dochodów. W ten sposób opiekuni okazują się rzeczywistymi kierownikami połączonych przedsiębiorstw; naturalnie posiadacze certyfikatów są zabezpieczeni przeciw nadużyciom z ich strony. Zresztą uczynimy najlepiej, jeżeli przyjrzymy się wewnętrznej organizacyi trustu cukrowarskiego, który zawiązał się na przeciąg czasu nieskończenie długi. Każde przedsiębiorstwo, przypuszczone do związku, winno złożyć wszystkie swoje akcye; będące zaś w posiadaniu pojedynczej osoby — zamienić się na spółkę akcyjną. Trustecowie stanowią zarząd, który prowadzi od siebie produkcyę w oddzielnych zakładach, wchodzi w stosunki z nabywcami i wreszcie pobiera wszystkie dochody. Do czystego zyskn mają akcyonaryusze prawo w stosunku do posiadanej sumy akcyjnej, bez względu na różnice w wydajności pojedynczych stowarzyszonych przedsiębiorstw. Może się zdarzyć, że dla pewnych widoków zakład jakiś z rozporządzenia zarządu zostaje zamknięty na krótszy lub dłuższy przeciąg czasu, a jednakże akcyonaryusze odpowiedni otrzymują podobny udział, jak inni. Co więcej, zarząd jest w stanie zupełnie znieść jakieś stowarzyszone przedsiębiorstwo, lecz akcyonaryusz żaden nic na tem nie traci... Cóż tedy mamy tutaj? Nic innego, jak połączenie pod postacią kartelu dotychczas niezależnych zakładów w jedną olbrzymią firmę akcyjną, która obejmuje 85% całej produkcyi cukru w stanach nadatlantyckich. Odrębna fabryka stała się tutaj jedynie pojedynczym warsztatem większego przedsiębiorstwa i nic nie staje na zawadzie, aby te oddziały w przestrzeni

*) Musimy zauważyć, że mówiąc o kartelach, mamy na myśli jedynie związki pomiędzy producentami, lecz nie owe zmowy przekupniów-spekulantów w rodzaju sławnego paryskiego syndykatu miedzianego. Głosy takie, jak Vogelsanga, tak sympatycznie usposobione dla karteli przemysłowych, nie mają wprost słów dla wypowiedzenia swego oburzenia względem „ringów" giełdziarskich.

warsztaty nie zostały z czasem skupione w jednem najdogodniejszem miejscu. Nadto takie trusty dotychczas są szczególną zmową przeciw spożywcom, a mianowicie dążą do tego, aby dzięki centralizacyi administracyjnej i ułatwionemu nabyciu ulepszeń zniżyć koszta produkcyi i taniością produktów pobić współzawodników na rynku wszechświatowym... Dość przejrzeć dzieje trustu nafciarskiego. Zręczny jeden spekulant, a zarazem przedsiębiorca nafciarski, wyjednywa u kolei żelaznych pewne ulgi przewozowe; dzięki temu zczasem wyrasta na królika nafcianego. Zmusza współzawodników do zawiązania trustu i zrobienia siebie głównym „opiekunem.“ „Trust“ zawiązany przeprowadza ogromne naftociągi od źródeł do ważniejszych portów, liczące czasami kilkaset wiorst. Techniczne to ulepszenie wraz z innemi obniża niezmiernie koszta produkcyi i przewozu i w dalszym ciągu cenę nafty na rynku miejscowym i zagranicznym. Lecz jednocześnie owe techniczne przekształcenia stają się przedmiotowem spoidłem dla istnienia „trustu,“ niepozwalającem mu rozpaść się kiedykolwiek. Jest to w całem tego słowa znaczeniu wyjaw centralizacyi technicznej. I właśnie taki charakter przybierają i inne kartele amerykańskie. Są one prawną szatą dla dalszego postępu technicznego i w całej pełni uwidoczniają ową dążność ku nowoczesnemu monopolowi, wynikającemu z użycia szczególnych środków produkcyjnych. Teraz możemy pojąć, dlaczego ekonomiści amerykańscy godzą się z monopolem i odrzucają dawną zasadę: *laissez faire, laissez passer*. „Mniemam — mówi Foxwell— żem dowiódł, iż rozwój monopolów stanowi fakt najwyższej wagi pod względem ekonomicznym; okoliczność ta winna zmienić nasze poglądy na rolę państwa, o ile wynikają one z założenia bezwzględnej wolnej konkurencyi...“

Należałoby obecnie pomówić o środkach prawodawczych, za pomocą których ekonomiści amerykańscy myślą powstrzymać ujemne skutki nowoczesnego monopolu, oraz, co ważniejsza, o znaczeniu karteIów jako bojowo-klasowej organizacyi przedsiębiorców względem najmitów. Rzecz charakterystyczna bowiem, że np. „trust“ cukrowarski w ustawie swojej mówi między innemi, że jest odpowiedzią na związek Rycerzy pracy. Brak miejsca nie pozwala jednak wchodzić w te szczegóły. Natomiast musimy wyjaśnić, dlaczego Brentanowie i Vogelsangi witają związki kartelowe tak przychylnie. Nie idzie im już o techniczne znaczenie tych monopolów, lecz o ich działanie przeciw anarchii rynkowej i związanemu z nią powstawaniu demokracyi społecznej. Marzą oni o szczególnem społeczeństwie. Własność prywatna istnieje, lecz przedsiębiorcy każdego zawodu stanowią jedną organizacyę kartelową, która za pośrednictwem zarządu zbiera statystykę odnośnych potrzeb, odpowiednio normuje rozmiary produkcyi i rozdziela pomiędzy pojedyncze zakłady oraz zajmuje się dostarczeniem produktów bezpośrednim spożywcom. Robotnicy posiadają zupełną pewność jutra i stałą pensyę z zupełnem zabezpieczeniem starości itd. W ten sposób usunięta zostaje anarchia rynku wraz z głównem źródłem podniecającem robotników, lecz zatrzymaną własność rentująca. W gruncie rzeczy jest to „socyalizm kapitalistyczny“ lub raczej, jeśli się bliżej rozejrzeć, feodalizm przemysłowy. Przedstawicielstwo polityczne jest zorganizowane na podstawie zawodowej, pryncypał ma być przedstawicielem takim fabryki, jak baron — poddanych... Do tego ideału wróćmy jeszcze kiedyś. Właśnie ku temu porządkowi rzeczy wzdycha otwarcie Vogelsang i mniej otwarcie Brentano z Rodbertusowcami... Zauważymy tylko, że jeżeli monopol nowoczesny prowadzi ku feodalizmowi przemysłowemu, z drugiej strony otwiera on inne wyjścia. Można było upaństwowić koleje żelazne tylko dlatego, że techniczna centralizacya była wysoka. Zcentralizowanie całej produkcyi naftowej w ręku jednego „trusta“ umożliwia równie przywłaszczenie tego zawodu przez państwo. W ten sposób monopol techniczny, będący następstwem wywłaszczenia mnóstwa drobnych przedsiębiorców przez niewielu wielkich, umożliwia nastanie innego czynu: wywłaszczenia drogą prawodawczą tych niewielu przez zorganizowaną ekonomicznie wolę społeczną.

K. R. Żywicki.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Historya powstania nowoczesnego państwa niemieckiego.

Wielkie dzieło historyczne Henryka Sybla *), które zajmuje obecnie prasę i publiczność niemiecką, dla historyków fachowych nie było niespodzianką; zbyt długo bowiem przygotowywał dyrektor państwowego archiwum niemieckiego tę pracę zdumiewającą swym ogromem. Już pierwsze dwa tomy, które obecnie się pojawiły, obejmują tysiąc stronic, a dalsze trzy, zapowiedziane na rok 1890, jeszcze nie wyczerpią materyału. Słowa, wypisane w tytule: „przeważnie na podstawie pruskich aktów państwowych,“ określają charakter tego dzieła, którego autor wyznaje zresztą sam, że „na żadnem miejscu książki nie przeinawierza się pruskim i narodowo-liberalnym swym przekonaniom.“ Sybel niema wcale pretensyi do bezstronnego traktowania rzeczy; jest to historya urzędowa, ogłoszona w porozumieniu z kanclerzem, który pozwolił zużytkować materyały archiwalne. Zadanie jej łączy się bezprzecznie z politycznymi celami Niemiec. Ogłaszając dziś dzieje powstania państwa niemieckiego, Prusy rozpowszechniają pewien szereg poglądów, które potem trudno będzie wykorzenić z umysłów. Zważywszy, że inne państwa nie otwierają wstępu do akt państwowych od r. 1815 aż do czasów teraźniejszych, łatwo zrozumieć, że dziejopisarstwu pruskiemu wolne pozostaje pole do stwarzania opinii publicznej. Można więc dzieło Sybla uważać jako naukowy „pendant“ do wielkiego obrazu dyrektora Kellera, wyobrażającego apoteozę cesarza Wilhelma i jego wodzów.

Sybel rozpoczyna swą pracę obszernym wstępem p. t. „Rückblicke,“ przypominającym wstęp do historyi wieku XIX Gervinusa, a obejmującym dzieje Niemiec od czasów najdawniejszych aż do rewolucyi marcowej. Mamy tu też same punkty widzenia, które dla książki Sybla „Die deutsche Nation und das Kaisserreich“ (ogłoszonej w r. 1862) zbudziło tyle niechęci. Autor ten minionych okresów historyi nie umie, czy nie chce pojmować z własnego ich ducha, cały rozwój Niemiec mieni jednym wielkim błędem, najdzielniejszych cesarzów—złymi politykami, dlatego, że nie urabiali państwa w myśl Hohenzollernów. Wysławia partykularyzm, o ile zwraca się przeciw potędze Habsburgów, broniąc zresztą idei zjednoczenia Niemiec pod hegemonią Prus, które, jako opatrznościowa głowa państwa, w najsympatyczniejszych występują u niego barwach. Zawsze jednak bezstronniejszym jest, aniżeli Treitschke, który nawet rozpustnego pietystę Fryderyka Wilhelma II czyni bohaterem. Sybel przyznaje, że gabinet wiedeński za czasów Metternicha zupełnie ulegał wpływowi kanclerza wiedeńskiego, którego Fryderyk Wilhelm III zwał swym ministrem spraw zewnętrznych. Dopiero dzieje lat 1848—50 traktuje na podstawie badań archiwalnych. Fryderyk Wilhelm IV, zwany „romantykiem na tronie,“ znany jest z pamiętników Ernesta Koburskiego, z biografii Rankego, wreszcie z korespondencyi własnej z Bunsenem. Nowym jest fakt, że król pruski przedstawił Feliksowi Schwarzenbergowi memoryał w sprawie ugrupowania rzeszy niemieckiej. Tu zaczynają się nieslychanie powikłane dzieje pierwocin państwa niemieckiego, snujące się przez lat dziesiątki wyłącznie w ramach układów dyplomatycznych między gabinetem wiedeńskim a pruskim. Najwybitniejszą i najwpływowszą postacią tej epoki jest ks. Schwarzenberg, człowiek o naturze żołnierskiej, dumnej i bezwzględnej. Sprawiało mu to przyjemność osobistą dręczyć słabego króla pruskiego, drżącego ciągle przed rewolucyą i pragnącego uniknąć wojny niemiecko-austryackiej. Zdawało się Schwarzenbergowi, że z łatwością zepchnie Prusy na stanowisko podrzędne. Fantastyczny projekt króla pruskiego, by utworzyć cztery królestwa, traktuje ironicznie, sam proponując system grup, któryby obejmował wszystkie kraje Niemiec i Austryi, łącząc je w państwo 70-milionowe. Atoli obrady deputowanych wspólnych w kościele św. Pawła zgotowały klęskę polityce Schwarzenberga. Odrzucono jego projekt, ofiarując królowi pruskiemu koronę cesarską. Deputowani austryaccy opuszczają kościół św. Pawła, ale król pruski na własną rękę próbuje wznowienia dobrych z Austryą stosunków. We Frankfurcie schodzą się delegaci Austryi z czterech królestw niemieckich jako rada rzeszy; reszta Niemiec stanowi się jako unia odrębna. Spór rozwiązuje cesarz Mikołaj, oświadczając w Skierniewicach pod wpływem Schwarzenberga Wilhelmowi, bratu króla pruskiego, że nie ufa unii. Stosunek Austryi do Prus staje się coraz nieprzyjaźniejszym. Ludwik Napoleon proponuje królowi pruskiemu wspólne zaatakowanie Austryi; francuzi mieli zająć włoskie jej posiadłości, podbudzając zarazem węgrów do powstania i w ten sposób pomódz Prusom do zdobycia tronu cesarskiego — w zamian żądali krajów nadreńskich. Prusy odrzucają tę propozycyę. Raz jeszcze Schwarzenberg doradza zgodę, wnosi utworzenie duumwiratu, objęcie egzekutywy przez Prusy i Austryę. I ten projekt rozbił się. W Bregencyi spotykają się królowie Bawaryi i Wirtembergu z cesarzem austryackim i układają związek skierowany przeciw Prusom. Radetzkiego mianowano wodzem naczelnym armii złączonej. Atoli Fryderyk Wilhelm waha się i wysyła hr. Brandeburga do cesarza Mikołaja. Misyata, rozpoczynająca tom drugi dzieła Syblowskiego, przedstawiona jest w nowem zupełnie świetle. Mniemano dotychczas, że Brandeburg, źle przyjęty przez cesarza Mikołaja, wrócił do Berlina upokorzony i błagał Fryderyka Wilhelma, by porzucił projekty pokojowe. Akty wykazują, że właśnie Brandenburg głównie doradzał ustąpienie, a książę Wilhelm, brat króla, popychał gabinet berliński do kroków ostatecznych. W Dreznie rozpoczynają się nowe konferencye ministrów. Niemiecka Rada związkowa zmartwychwstaje pod hasłem reakcyi. Austrya przewodniczy wprawdzie obradom rzeszy niemieckiej, ale jako pełnomocnik Prus występuje po raz pierwszy Bismark-Schönhausen. Sybel charakteryzuje go obszernie, ale dość oschle. Udział Bismarka w obradach ówczesnych występuje o wiele dokładniej w jego korespondencyach frankfurckich i w urzędowej publikacyi „Preussen im Bundestage.“ W chwili, kiedy potęga Prus rośnie o całego Bismarka, Austrya traci Schwarzenberga, „którego śmiałość i energia — według

*) *Die Begründung des deutschen Reiches durch Wilhelm I.* (München u. Leipzig, R. Oldenbourg), 1890.

słów Sybla — wiodły od jednego powodzenia do drugiego.“ Buolschauenstein, następca Schwarzenberga i uczeń jego, nie umie przeprowadzać politycznych myśli mistrza. Bismark występuje odrazu z całą bezwzględnością rozumu i energii, lecz nie odrazu znajduje posłuch. Oświadcza on jawnie, że jedynym przeciwnikiem Prus jest Austrya, czego dowodzi zarówno rada rzeszy, jak układ cłowy. Atoli król Fryderyk Wilhelm uparcie trzyma się myśli sojuszu z Austryą, który przychodzi wreszcie do skutku za pośrednictwem Hessa. Prusy zobowiązały się dostarczyć armii 200-tysięcznej na wypadek, gdyby zaczepiono Austryę. Atoli niezręczna polityka Buola paraliżuje ten krok, obudzając przeciw Austryi niechęć wszystkich państw europejskich, podburzanych nadto przez Cavoura. Bismark przedstawia królowi parę memoryałów, w których wykazuje zgubność dotychczasowej polityki i radzi pozbyć się wszelkich wobec Austryi skrupułów. Król sprzeciwia się jeszcze, lecz pomieszanie zmysłów zmusza go do ustąpienia z widowni politycznej, na której pojawia się książę Wilhelm. Ten w młodości swej nie przypuszczał nigdy, iż mógłby kiedyś dojść do panowania. Mawiał sam o sobie, że nauczył się tylko komendy wojskowej, nie troszcząc się o sprawy państwowe. Wojna włoska wystawiła niebawem na próbę dyplomatyczny rozum sędziwego już Wilhelma. Austrya domagała się pomocy poręczonej układem. Król wahał się, wreszcie, w dzień bitwy pod Solferino, rozkazał zmobilizować armię. Tymczasem nastąpił pokój w Villafranca, a cesarz Franciszek Józef obwiniał Niemcy, iż zdradziły Austryę. Wiedeń i Berlin pozostają od tej chwili na stopie wrogiej. Atoli w Niemczech stanowisko Prus staje się coraz bardziej wpływowem, w miarę rozrastania się poczucia narodowego. Hasła narodowe rozbrzmiewają coraz silniej w literaturze i prasie, nawet z katedr profesorskich. Następuje konferencya książąt niemieckich w Baden-Baden, po której, według Sybla, odbyła się pogadanka między Wilhelmem a Maksem bawarskim, tej treści: król Maks czynił Wilhelmowi zarzuty, iż nie dotrzymał Austryi przymierza w wojnie włoskiej. — A czy twoja armia była zmobilizowaną? — odparł Wilhelm. — W lipcu—rzekł Maks. — Ja— zauważył Wilhelm — w kwietniu już bym był spotkał się z armią francuską, lecz Austrya wolała pod Villafranca stracić Lombardyę, aniżeli odstąpić nam sławę zwycięstwa.

Wilhelm podjął reformę wojska pruskiego, co go wprowadziło w starcie z własnym krajem. Wówczas przypomniał sobie Bismarka, który do owego czasu w Niemczech znany był jako „der freche Junker.“ Bismark odrazu zajął stanowisko charakterystyczne dla późniejszej jego polityki. Podczas rozruchów polskich, jedyny Bismark stał po stronie cesarstwa ruskiego, zabezpieczając sobie przyjaźń Rosyi w wojnie z Austryą. Kiedy w sierpniu 1863 r. król Wilhelm spotkał się z cesarzem francuskim Józefem w Gastein, mówili monarchowie o sprawie polskiej. Wilhelm spisał tę rozmowę. Cesarz oświadczył, że tylko dla zachowania pokoju przyłączył się do not mocarstw zachodnich.

Drugi tom kończy się sprawozdaniem o frankfurckim zjeździe książąt niemieckich, na który Wilhelm nie przybył, ulegając radzie Bismarka. Austrya przekonuła się, że lepiej by dla niej było traktować z samemi Prusami, niż z trzydziestoma książętami niemieckimi. Tom trzeci opisze sprawę Holsztyńską i wojnę duńską, którą Bismark uważa za najzręczniejsze dzieło swej dyplomacyi. Tom czwarty zawrze wiele nowego materyału, odnoszącego się do zjednoczenia Niemiec i Włoch; piąty traktować będzie wojnę 1863 r. i powstanie związku północno-niemieckiego. Trzy te tomy zapowiada Sybel już na r. 1890. W nich mieści się dopiero połowa dziejów powstania cesarstwa niemieckiego.

L.

ETNOGRAFIA.

Józef Rostafiński, *Szkice ze świata i przyrody.* Serya druga. *Z Algeryi.*

Dzieło p. Rostafińskiego nie jest zbiorem luźnych wrażeń z podróży; owszem stanowi systematyczny opis Algieryi ze stanowiska przyrodniczo-geograficznego, głównie zaś etnograficznego. Złożyły się nań, oprócz spostrzeżeń osobistych, źródła książkowe, po części też wiadomości zebrane na miejscu. Daje ono więc czytelnikowi należyte wyobrażenie o całości opisanego kraju; czyta się z łatwością, autor bowiem napisał je stylem lekkim i jasnym, tu i owdzie nawet ozdobnym, a wplótłszy w wątek anegdotyczne legendy lub zestawienia, ożywił opowiadanie, któremu liczne cynkografie nadają wyrazistość.

Przeważna część dzieła i — dodajmy — najciekawsza, poświęcona opisowi plemion zaludniających Algieryę; po za tem znajdzie czytelnik parę rozdziałów, dotykających dość pobieżnie geografii fizycznej, flory i fauny, parę innych, roztrząsających niektóre kwestye ogólniejszej treści: tak rozdział o islamizmie zawiera ciekawe szczegóły o tolerancyi islamitów i ich poczuciu wyższości wobec pełnej kompromisów wiary zaborców; inny o zabytkach cywilizacyj dawniejszych — rzymskiej i arabskiej itp.

Plemiona Algieryi należą do kilku ras: są tu biali i murzyni, aryjczykowie i semici, ale najdawniejszą ludność stanowią berberowie, czyli raczej chamici. Śród tych najsympatyczniej przedstawiają się kabylowie, czyli amazyghowie (tj. ludzie wolni). Są to górale, w których charakterze p. Rostafiński znajduje wiele rysów podobieństwa z naszymi tatrzaninami: taż sama odwaga, poczucie godności osobistej i równości, pracowitość, ciekawość i dobry humor. O pochodzeniu swojem posiadają kabyle następującą legendę: „Olbrzym, pochodzący z kraju, gdzie się rodzi słońce, niosąc na barkach niebotyczne głazy, omdlał pod ich ciężarem w okolicach Dżjur-dżiury, które były wówczas zupełną płaszczyzną; głaz, który niósł, przywalił go, a padając, rozbił się na góry i pagórki, jakie do dziś dnia przetrwały, z fermentu zaś ciała owego olbrzyma powstali „wolni ludzie“ — Amazyghi.“

Mają oni ciekawy ustrój społeczny. Każda ich wioska, jeśli jest dość liczna, składa się z kilku grup domów; każda grupa obejmuje rodziny spokrewnione lub przyjęte do pokrewieństwa i stanowiące razem *kharubę*, tj. przysiółek. Jest to jednostka polityczna. Cała wieś, *taddert*, składająca się z kilku kharubów, wybiera sobie męża zaufania — *amina*; mniejsza łączy się z sąsiedniemi i wybierają go z niemi wspólnie. Taki związek zowie się *dechra*. W wypadkach niebezpieczeństwa lub wspólnych interesów pojedyncze taddert*y* lub dechry spajały się w stowarzyszenia — *arch*, którym przewodniczył wybrany przez nich *amin-ul-amena* — amin nad aminami. Ale te związki były zawsze czasowe i kabylowie wprost bali się tworzenia zrzeszeń stałych, aby nie wpaść w zależność od aminów na wzór arabów. Tak wysoce rozwinięte mają poczucie niepodległości, że z pogardą mówili francuzom: „pobiliście nas, aleście słuchali jednego generała.“

O interesach gminy rozstrzyga *dżemaa*, tj. wiec obywateli pod przewodnictwem amina — większością głosów. Amin, wybierany czasowo lub na całe życie, jest zawsze czuły na oznaki braku zaufania obywateli i skoro go zauważy, usuwa się ze swego stanowiska.

W każdej gminie są pewne związki, czyli stronnictwa — *soffy*, które się grupują rozmaicie; otóż przy wyborze amina zwycięża kandydat liczniejszego soffu; natomiast mniejszość wybiera *ukila* czyli skarbnika; ponieważ w razie wydatku pieniężnego żaden dokument nie jest ważny, jeśli nie został przez każdego z tych urzędników podpisany, więc mniejszość ma swego przedstawiciela we wszystkich czynnościach gminy.

Dawniej dżemaa posiadała władzę prawodawczą i sądową; dziś jest ta władza o tyle ograniczoną, o ile się nie zgadza z kodeksem francuskim; ale pomimo to wpływ dżemaai jest bardzo rozległy, gdyż kabyle chętnie się poddają jej wyrokom, aby nie iść po sprawiedliwość do najeźdźców. Prawo ich, t. zw. *Kanun*, nie jest spisane; młodzi uczą się go na posiedzeniach od starszych i tak przechodzi do potomności. Obejmuje ono wiele działów podobnych do ustaw europejskich.

Podstawę prawa cywilnego stanowi własność; ale prócz prywatnej posiadają oni rodzaj własności gminnej, *rabbi*, przeznaczonej na utrzymanie ubogich. Prawa spadkowe są dość podobne do europejskich; kobiety tu jednak nic nie dziedziczą. W innych wszakże względach używają one u wszystkich plemion berberyjskich znacznej niezależności i szacunku. Kary najsroższe obciążają zdradę (śmierć), występki przeciw gminie (zburzenie domu i wygnanie) i cudzołóztwo (kamienowanie); za inne występki skazywano na grzywny. Ani bicia, ani więzień nie było. Kary pieniężne zostawił rząd francuski: są one zwykle niewielkie, gdyż nie sięgają wyżej dwóch ranków.

Osobliwością obrad dżemaai jest to, że podnoszą się tu nietylko jawnie niezgodne z Kanunem uczynki obywateli, ale i wszelkie postępowanie niemoralne lub sprzeczne z obyczajami; jeśli ktoś okaże niegościnność, płaszczy się przed władzą lub obrazi drugiego, winien wytłomaczyć się z tego wobec gminy, a jeśli nie zdoła się obronić, zostanie skazany na karę pieniężną. W tenże sposób regulowaną bywają i sprawy majątkowe: gdy jeden z członków gminy dochodzi do zbyt wielkiego bogactwa, radzą mu, ażeby z kapitałów swych nie ciągnął lichwy, ale lokował je na francuskiej rencie i pozwalał innym dorabiać się majątku. Ciekawą instytucyą jest *anaya*. Kabyle byli zawsze wielkimi ochotnikami do wojny i nieraz taddert występował przeciw innemu wprost dlatego, aby się proch nie zależał; również rozpowszechnioną była (a po części i dziś jest) *rokba*, tj. zemsta krwi; otóż anaya łagodzi te surowe zwyczaje. Jest to mianowicie rodzaj listu ubezpieczającego, który może wydać *każdy* obywatel bądź kabylowi, bądź cudzoziemcowi. Anaya nietylko zabezpiecza podróżującego przed wszelką napaścią i gwałtem, ale chroni nawet od zemsty krwawej. Instytucya ta oddawała szczególne usługi w czasie ciągłych wojen pomiędzy gromadami kabylów; niekiedy taka anaya „rzucona“ wśród bitwy przez marabuta (rodzaj duchownych bardzo poważnych), przerywała natychmiast walkę. Kabyle są nadzwyczaj mężni, otwarci i słowni, niezmiernie pracowici i skromni w wymaganiach swoich: wytrwałość, z jaką na nagich skałach stwarzają grunt rolny, sprowadzając niekiedy z daleka ziemię, jest iście zadziwiającą. Są przytem doskonałymi rzemieślnikami, z łatwością przejmują wszystko, co widzą gdzieś praktycznego. Rozdrobnienie własności jest tu tak wielkie, że niekiedy drzewa owocowe lub oliwne mają po kilku właścicieli, z których każdy pielęgnuje i podpiera jeden konar otrzymany w spadku. Część więc kabylów emigruje z gór i bądź czasowo osiada w miastach, aby dorobiwszy się grosza, wrócić i kupić ziemię, do której są niezmiernie przywiązani, bądź zaciąga się do pułków tyralierów francuskich.

Odwrotną stroną medalu jest brud niezmierny.

Do tych szczegółów, które oczywiście nie są wynikiem osobistych studyów p. Rostafińskiego, lecz wyjęte z dzieł gruntownych badaczów Kabylii, jakimi byli Hanoteau i Letourneaux, dodamy kilka od tych autorów pośrednio zapożyczonych, a przez p. Rostafińskiego pominiętych. Otóż, oprócz wymienionych cech, charakterystyczną jest solidarność kabylów, wiążące ich poczucie spólności; każdy z nich, budując dom, ma prawo do pomocy całej wsi; roboty w polu wykonywają się również połączonemi siłami. Każdy w razie potrzeby zwołuje wieś i bywa przywołanym *).

O ile w rysach charakteru dostrzegł p. Rostafiński podobieństwo górali Algieru do tatrzańskich, o tyle instytucye kabylów przypominają instytucye demokratyczne innych górali — szwajcarów **). Spotykamy w Afryce, jak w Alpach urządzenia najbardziej postępowe, dające jednostce względnie największą wolność i niezależność osobową obok najściślejszej solidarności społecznej; niektóre zaś rysy własności u kabylów przypominają szwajcarskie *allmendy*.

Niemało pouczających szczegółów znajdzie czytelnik w innych rozdziałach *Szkiców*: o tuaregach, maurach itd. Wogóle dzieło p. Rostafińskiego nie jest ani oryginalnem, ani ściśle naukowem, ale podając fakty wyjęte z mniej przystępnych dla naszych czytelników źródeł i przedstawiając je barwnie — stanowi książkę przyjemną i pożyteczną.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Fabryki kłamstwa. — Warszawa nie bawiła się. — Kto zabronił. — Tylko 50,000. — Niewdzięczni. — Algiebra dobroczynna i dawne jej równania, — Pragnienie nowych pomysłów. — Świat drugi a rzeczywisty. — My w oprzędzie nici angielskich. — Zaloty noworoczne. — Dwa najprzykrzejsze do pisania i czytania artykuły.— Tegoroczne hasło walki dziennikarsko-wyborczej.

Istnieje w Warszawie ogólne przekonanie, że reporterya miejscowa założyła sobie jedną, czy parę bardzo korzystnych fabryk kłamstwa, w których wyrabiane są wszelkiego gatunku nowiny nadzwyczajne: rozwiedzeni małżonkowie, spotykający się przypadkiem u stóp papieża, który ich błogosławi i ponownie łączy; szczygły umiejące tabliczkę mnożenia; wełniane suknie na balach; jasnowidzenia, gwałtowne śnieżyce, jednoczesne zgony kilku po świecie rozproszonych krewnych, sześcioraczki szczęśliwie urodzone itp. Dzięki tym pomysłowym improwizacyom, które wprawdzie— według przysłowia —mają krótkie nogi, ale za to chodzą ciągle, nigdy dokładnie nie wiemy, jak Warszawa wygląda, co myśli i czuje. Wtedy, kiedy cię upewniają, że ona o niczem nie mówi, tylko o Sienkiewiczu lub „Przeglądzie pracowni malarskich,“ ona tymczasem zajęta antisemityzmem lub influencyą. Ponieważ zaś prowadzę życie borsucze i całą moją wiedzę o tem, co się dzieje „w łonie syreniego grodu,“ nabywam od „dobrze poinformowanych,“ którzy kłamią jak najęci, przeto nie umiem was, czytelnicy, objaśnić, czy Warszawa istotnie podczas świąt mało się bawiła, czy też reporterzy o jej zabawach z jakiegoś powodu milczeli. Zaznaczyć winienem, że ta druga możliwość wydaje mi się całkiem nieprawdopodobną. Tajenie bowiem przed uwagą publiczną: ludzi zasłużonych, wydawnictw pożytecznych, utworów wartościowych, poświęceń szlachetnych jest w prasie naszej objawem dość zwykłym, nieraz nawet związanym ze stałą zasadą; ale tendencyjnego milczenia o balach nigdy w niej dotąd nie spostrzegłem. Przeciwnie, raczej zmyśla ona niebywałe, aniżeli ukrywa dopełnione. Warszawa tedy podczas świąt musiała istotnie zachowywać się wstrzemięźliwie. Czemu? Czytałem gdzieś w książce niemieckiej: jeśli chcesz dowiedzieć się, ile wart jeden talar, spróbuj go pożyczyć. Według świadectwa pism humorystycznych (bo niehumorystyczne tej drażliwej sprawy nie dotykają), wesołość kraju naszego podtrzymują głównie lichwiarze. *Kuryer świąteczny* i *Mucha* zapewniają uroczyście w każdym numerze, że zwykle pozwolenie na wieczory tańcujące wydają Icek, Lejbuś lub Moszek. Nic nie pomoże ochoczość nadobnych tancerek i dzielnych tancerzów; nie poradzą imieniny ojca, mamy, ani potrzeba wprowadzenia w świat córki; dopiero gdy jeden z owych patronów karnawału da swoje błogosławieństwo, natychmiast rozpoczynają się pląsy. Otóż zdaje mi się, że moi szanowni ziomkowie, którzy na szczęście tych słów czytać nie będą, wskazaną powyżej próbą zbadali, że rubel znacznie podrożał i to podrożał w ręku owych senatorów naszej rzeczypospolitej pieniężnej, którzy w fałdach swej czarnej togi kryją... radość lub smutek. Dawniej ludzie ze zgrozą opowiadali sobie, że ktoś za wynajem stu rubli rocznie brał 20; dziś podobno 100, 200 a nawet 300 rs. za tę przyjemność nie jest jeszcze lichwą. Gdy wzrosły ceny kawioru, wina, serów, owoców — można było (ciągle za pozwoleniem Icka lub Jankla) wyprawiać uczty; ale gdy podskoczył w cenie produkt tak niezbędny do najskromniejszego balu, jak rubel, hulać trudno. *Kuryer warszawski*, w braku pomyślnych nowin z prologu karnawałowego, zagłębił myśl w pytanie teoretyczne: „jak się bawimy“ i z obliczenia przybliżonego wypadło mu, że „w ogólnym ruchu zabaw i rozrywek miesięcznie bierze udział około, a nawet przeszło 50,000 warszawiaków.“ Może taki był stosunek w miesiącu ostatnim, może taki będzie w następnych, ale przeczę stanowczo w imieniu „wesołego miasta,“ ażeby on był wyrazem nastroju lat poprzednich. Według mojego bowiem przypuszczenia, zwłaszcza w pewnych porach, bawi się w Warszawie połowa ludności — tj. około 200,000 osób. Dzieci, młodzież, kobiety, mężczyźni dojrzali, matrony, starcy, kaleki, ubodzy, zamożni, bogaci, albo myślą o zabawie, albo uczestniczą w niej, albo skarżą się na jej brak. Czem dla innych społeczeństw jest powietrze, ciepło, światło, chleb, tem dla nas jest zabawa; my bez niej wprost nie rozumiemy życia, my jej nie zrzekamy się ani w żałobie, ani na cmentarzu, ani w nędzy, ani na zgliszczach. Jedna tylko powstrzymuje nas przeszkoda: za drogi rubel. To też sądzę, że podczas gdy jedni mianują antisemityzm hańbą, drudzy atawistycznem odrodzeniem się barbarzyństwa, inni rozkielznaniem dzikich instynktów, my powinnibyśmy go przedewszystkiem nazwać niewdzięcznością. Bo jeżeli — według naszego katechizmu — szczęście człowieka zależy na tem, ażeby się bawił, to szczególną wdzięczność czuć powinniśmy dla tych, którzy nam owo szczęście za niewinne kwitki umożliwiają. Hartmaniki, usiłujący żydów „ausrotten,“ napomykają, że gotowi nam ich w tej roli zastąpić; w takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak zgodzić się na ich filozofię i dalej do... pierzyn!

Pomysłowość miłosierdzia była w tym roku bezpłodną: oprócz dawnego potomstwa — gwiazdek i bazarów — nie zdobyła się na żadną nową pociechę. Nie przypomniałbym tej bezpłodności, gdyby ludzie szczerze litościwi, którzy chcą pomódz ubóstwu, nie skarżyli się, że dotychczasowe postacie zabawy kwestarskiej już ich nudzą. Daremnie tym grymaśnikom tłomaczą:

— Kwestowanie jest algiebrą dobroczynną, rozwiązującą zadania przy pomocy znaków, zastępujących ilości i przedmioty prawdziwe. Jak w algiebrze matematycznej, zamiast wołów, owiec, koni, których przecie pod ręką mieć i do pokoju wpędzić nie można, piszemy X, Y, Z, podobnie w dobroczynnej, zamiast paralityków, szwaczek i starych bab, wprowadzamy na salę panie i panów A, B, C, układamy z nich równania i rozwiązujemy je. Postacie i odmiany tych zrównań w algiebrze matematycznej są ograniczone — trudno więc ażeby dobroczynna posiadała nieskończoną ich rozmaitość.

Nie przeczę, że dalej jeszcze w pomysłowości posunąć się można, ale na nieszczęście genialny reformator algiebry dobroczynnej, hr. Krasiński (czy tylko się nie mylę w nazwisku?) jest chory lub zagniewany, a genialny jej twórca, p. Dobiecki, spoczął na dobrze zasłużonych wawrzynach. Ale bądźmy cierpliwi, niedługo, może już w roku przyszłym, z siedemdziesięciu papierowych piersi naszej prasy wydrze się okrzyk: mamy nową zabawę dobroczynną! Bo przecie chyba do tego nie dojdzie, ażebyśmy znudzeni jednostajnością, zapragnęli oglądania publicznie nędzy *in natura*; strojne, miłe, czasem ładne, a zawsze uśmiechnięte jej surogaty będą zawsze przyjemniejsze... Czyżbyś poszła piękna czytelniczko (jak ja już umiem pisać stylem *Kuryerowym!*) do sklepu po pachnidła lub ty czcigodny czytelniku — po papierosy, gdybyście wiedzieli, że wam je sprzedawać będą wychowanka z Przytuliska lub nieuleczalny paralityk a nie ich surogaty — nadobna pani... *owa* lub elegancki pan... *icz?*

Przy świetle artykułu o kartelach, zamieszczonego w dzisiejszym numerze *Prawdy*, łatwo zrozumiecie podaną przez dzienniki wiadomość o kartelu nicianym, spisanym częściowo na ludzkiej skórze. Umowa ta z natury swojej pozostaje zamaskowaną, na ile wszakże uchyliła swą zasłonę, przedstawia się tak: dwu, czy trzech angielskich fabrykantów nici, władających na rynkach Cesarstwa i Królestwa, ażeby współzawodnictwem nie paraliżować sobie wzajemnie interesów i łącznemi siłami osłabić konkurencyę miejscową, zawarło układ, na mocy którego podzielili się całym obszarem targowym: jeden otrzymał monopol (za ścisłość rozgraniczenia nie ręczę) Rosyę północną, drugi — południową, inny—Królestwo itd. Jest to zwykła operacya wielkiego przemysłu, wobec której wszelka deklamacya z naganą byłaby tylko bezsilnym gniewem. Nie myślę więc tego gniewu w nikim budzić, ale podsuwam uwadze czytelnika jeden z wielu faktów, wprowadzających myśl naszą w świat jak gdyby fantastyczny a jednak prawdziwy, niby oderwany od ziemi a jednak rzeczywisty — w świat odmiennego układu stosunków ludzkich, który ma swoje własne podziały i ugrupowania. Geograficznie, etnograficznie, politycznie widzimy: Niemcy, Austryę, Francyę, rumunów, serbów, polaków itd., ale po nad tymi obrazami kapitał ma inną geografię, etnografię i politykę, według których istnieją państwa i dzielnice: telegrafu, telefonu, nici, koniaku, srebra, igieł, zegarków itd. Dwa te światy niewspółmierne i niewspółrzędne ciągle ścierają się z sobą, z tego ścierania się powstają dziś rozmaite walki i wstrząśnienia, a kiedyś powstanie ciało przyszłości, o której my dziś nie mamy należytego wyobrażenia. Zaledwie spostrzegamy, że nagle znaleźliśmy się w oprzędzie

---

*) Laveleye, *Własność pierwotna*, s. 217. Obacz również streszczenie tych prac przez Renana w *Revue des deux Mondes*, 1873.

**) Nietylko że obowiązki amina kabylów są zupełnie podobne do obowiązków amana w gminie szwajcarskiej, lecz i brzmienie wyrazów jest bardzo bliskie.

nici angielskich lub w kokonie jedwabiu francuskiego, wtedy, kiedy sądziliśmy, że po nad nami przelatują tylko włókna babiego lata.

Kto podczas świąt nie bawił się, a takich, niestety, było wielu; kto nie myślał o niciach i drugim świecie, a takich zapewne było mało, ten w braku czegoś lepszego czytał prospekty i zapowiedzi wydawnicze, którymi rok obecny sypnął nader obficie. Ten grad jest u nas zawsze znakiem biedy — malejącego czytelnictwa, a zwykle to pismo najgłośniej krzyczy, które najbardziej cierpi. Wypadłoby więc, że obecnie największych boleści doznaje *Kraj*. Ile jest drzwi, okien, kominów i szpar w naszej prasie, tyloma wciskał się do „szanownych abonentów“ ze swym kramem, okazując im głośne nazwiska, barwne i błyskotliwe tkaniny, tanie dętki, uzdrawiające leki, zapewniając, że w potrzebie usłuży wszelką sztuką wędrownych „węgrów.“ Tylko o trutce na żydów, a raczej o środku znieczulającym przeciw ich skargom nic nie wspomniał; ale, jak wiadomo, ten specyfik apteczki domowej w porach odnawiania przedpłaty bywa starannie ukrywany. Zresztą ta ostrożność nie jest wyłącznym obyczajem *Kraju*; przestrzegają jej również inne pisma, które mażąc się przez 11 miesięcy antisemityzmem, około nowego roku myją sobie ręce i podają niemi wonne cukierki „wszystkim warstwom społeczeństwa,“ wyrażając szacunek dla „wszystkich wyznań.“ I rzecz dziwna, nieprawdopodobna a prawdziwa, że te „wszystkie warstwy i wyznania“ przyjmują owe słodycze i zamawiają je sobie nadal po to, ażeby się przekonać, jak szybko zgorzkniały. Nie przeczę, że prospekt lub ogłoszenie jest niezbędnym gońcem dla każdego wydawnictwa. Pomijając interes, wymaga tego cel najidealniejszy. Kto pragnie szerzyć pewne zasady, zyskiwać wyznawców dla pewnych idej i godeł, ten przecież musi rozpowszechniać je w społeczeństwie godziwemi drogami. Nawet surowy ewangielista, apostoł religijny daje znać o sobie i pragnie jak najrozleglej rozpowszechniać swą naukę. Noworoczne jednak zaloty o prenumeratę tak daleko odprowadziły współzawodników od granic taktu i przyzwoitości, że dwa papiery wydają mi się najwstrętniejsze do pisania i czytania: odezwa wyborcza kandydata poselskiego i prospekt wydawcy. Gdyby Apollo istniał i próśb ludzkich słuchał, przyjmując od niego pasowanie na literata, błagałbym, ażeby mnie zwolnił od tych dwu odraz. Ile razy—powiedziałbym—dobry Boże, zechcesz mnie skazać na te kary, juz wolę, ażebyś mi polecił napisać kilka książeczek legitymacyjnych, rachunków kucharki lub wreszcie recenzyj teatralnych.

Hasłem wyborczem — jak się mówi zagranicą — w tegorocznej agitacyi wydawniczej była taniość (naturalnie z elegancyą). W prospektach naliczyłem około pięciu „najtańszych pism polskich.“ Jakim sposobem może istnieć równocześnie kilka wielkości najmniejszych, tego żadna matematyka nie objaśni, ale prospektyka taką możliwość doskonale rozumie. Czy to jej działanie okazało się skutecznem — orzec trudno. Biegli twierdzą, że w roku obecnym wyborca - prenumerator był dziwnie głuchym na piękne hasła i niewrażliwym na czułe umizgi, co byłoby objawem smutnym. Bo pomimo blagi, kłamstw i wszelkich cacanek, życzę prasie naszej rozwoju i powodzenia, z wyjątkiem naturalnie tych jej organów, które żyją paszkwilem, niecnotą, świadomem fałszowaniem opinii, łaskotaniem złych instynktów, podszywaniem dobra narodu swoją samolubną rachubą — te niech przepadną. Życzę szczerze, bo chociaż nikt mnie nie przewyższa w miłości dla literatury swojskiej, nie jestem chińczykiem, który w każdym zadrukowanym kawałku papieru widzi świętość. Niejeden zaś kawałek takiego papieru jest stokroć gorszym, niż szarańcza lub filoksera, a od niszczącej szkodliwości tych robaków smutniejszym jest tylko fakt istnienia kół społecznych, które je żywią i mnożą.

Poseł Prawdy.

O PRAWDĘ.

I.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zwracając się do Szanownego Pana z kilku słowami (o których wydrukowanie proszę) z powodu recenzyi pana Bema na moją *Historyę Polski* (*Prawda* nr. 51), bynajmniej nie mam zamiaru wywoływać polemiki z moim szanownym krytykiem. W recenzyi jego są zarzuty, które z uznaniem przyjmuję, są i takie, z których z łatwością mógłbym się usprawiedliwić lub całkiem je obalić; lecz o to całkiem mi nie chodzi, i tylko pragnę zwrócić uwagę na dwa zarzuty, które stanowczo nie są słuszne.

Naprzód nigdzie nie dałem powodu do napisania, jakobym pierwszy podział Polski nazywał *poniekąd*, jak się p. Bem wyraża, sprostowaniem granicy, to bowiem, co napisałem na str. 193 swojej *Historyi Polski*, tego nie usprawiedliwia. Byłoby przecie z mej strony niedorzecznością nazywać sprostowaniem granicy odepchnięcie nas przez Austryę od Karpat a przez Prusy od Bałtyku. O sprostowaniu granicy wyraziłem się z innej, trzeciej strony i tylko o tyle zasługiwać mogę na krytykę.

Powtóre nigdzie nie uczyłem, że po *c* i *dz* należy bezwzględnie pisać *i*, bo coś podobnego byłoby także z mojej strony niedorzecznością. Jeżeli bowiem wyrazy, jak *młodzi*, *budzić*, *braci*, napisać musimy przez *i*, to znowu wyrazów *nadzy*, *miedzy*, *polacy*, *cyfry* nikt nie napisze przez *i*. Autor recenzyi, jako przykłady mojej pisowni, przywodzi wyrazy *polaci*, *cifra*; lecz pytam się, gdzie szanowny mój krytyk w książce mojej znalazł te wyrazy lub im podobne pisane przez *i*?

Edward Bogusławski.

II.

Dlaczego p. Bogusławski, „mogąc z łatwością“ (jak się wyraża) odeprzeć inne, poważniejsze zarzuty, poprzestał na zaakcentowaniu dwu podrzędnych punktów, z których jeden do geografii politycznej (w ścisłem tego słowa znaczeniu), drugi do pisowni należy, — zagadka to dla mnie trudna do rozwiązania. Gdy wszakże taka jego wola, w imię prawdy podniesiemy rzuconą rękawicę. Autor „dał powód do napisania,“ że pierwszy podział Polski uważa *poniekąd* (t. j. w pewnej mierze) za „sprostowanie granicy.“ Jestto ogólna wzmianka, zarówno z tekstem książki (str. 193, 225), jak i powyższem objaśnieniem zgodna. Wiadomo, że nasz dziejopis wielką przywiązuje wagę do pewnych pytań, leżących po za sferą historyi. Nie będąc politykiem z powołania, dobija się gwałtem tego tytułu. Chodzi mu też bardzo o szczegółowy rozbiór ukochanego paradoksu, który zasługuje na to chyba jedynie, żeby go przy drugiem wydaniu za progi podręcznika cichaczem wymieść. Dla Rzeczypospolitej, podobnie jak dla każdego organizmu politycznego, ważną była kwestya zdobycia granic naturalnych, w rodzaju Bałtyku lub gór Karpackich; ale czyż Dźwina Zachodnia i Dniepr, a tembardziej Drwęca lub Irpień— mogły być uważane za dostateczną od strony potężnego sąsiada zaporę? Nasz autor (na str. 225 i 226), polemizując z K. Waliszewskim, stara się dowieść, że nie granice wpłynęły na zgubę Rzeczypospolitej, lecz nierząd. Argumentacya ta jest w gruncie logiczna, chociaż (jak zwykle u p. B.) nazbyt żarliwa i cechą bezwzględności napiętnowana. Co innego Bałtyk, a co innego... Irpień. Trzeźwe zastanowienie się nad historyą polską przekona każdego, że brak tamy naturalnej od zachodu i wschodu silnie zaważył na losów naszych szali. Cokolwiekbądź jednak o tem powiedzieć można, ma racyę autor, utrzymując, że bezpośrednią przyczyną upadku był rozstrój państwowy Rzeczypospolitej. „Nie granice więc nas zgubiły, tylko nierząd“ — powiada w konkluzyi p. Bogusławski. Uczyniwszy niezbędne zastrzeżenie, tezie powyższej szczerze przyklaskujemy. Ale wobec tego, co się stanie z owem pożądanem jakoby bardzo dla Rzeczypospolitej „sprostowaniem granicy“ w przedzgonnej dobie,—za które warto było zapłacić obszarami, znacznie większymi, niż Belgia i Szwajcarya, razem wzięte? Jaki pożytek osiągnąć mogło państwo, cieszące się już tylko cieniem samoistności politycznej, — z tego, że u wschodnich jego kresów Dźwina, Dniepr, Drwęca i Irpień płynęły? Granice te zresztą nie odpowiadały warunkom etnograficznym: przed linią i po za linią żyła ludność mniej więcej jednorodna,—a sąsiad potężny wcześniej lub później musiał sięgnąć po resztę ziem ruskich. Czyż potrzebujemy jeszcze dowodzić, że paradoks, broniony przez autora, najpobłażliwszej nie wytrzymuje krytyki? Kto uważnie odczyta książkę, ten przekona się, że historyk, rozprawiając jużto o granicach, jużto o warunkach etnograficznych, których państwo w swym rozwoju przestrzegać powinno, sam na swe niemowlę wypieszczone wyrok śmierci podpisał.

A teraz zastanówmy się nad drugim punktem repliki. W sprawozdaniu swem nadmieniłem, że autor pisze: *polaci*, *żidzi*, *cifra*, *czitać* itd. Twierdzenie to zmuszony jestem wcześci odwołać. Nasz ortograf nie odznacza się bynajmniej taką, jaką mu przyznawałem, konsekwencyą: litera *i* następuje u niego wbrew zwyczajowi ogólnemu tylko po przyciskowych (np. *żidzi*, *czitać*, *pożitek*, *pisarzi*, *szidzić*); „nie uczy“ on „nigdzie, że po *c*, *dz* należy pisać *i*.“ Ale czy rzeczywiście „z jego strony coś podobnego byłoby niedorzecznością“? Owszem, byłby to dowód podstawowej znajomości przedmiotu. Powiada on, że takich wyrazów, jak: *polacy*, *cyfra* — „nikt nie napisze przez *i*.“ Za przyszłość bezwątpienia ręczyć nie można; ale wiadomo napewno, że ks. Fr. ks. Malinowski był gorącym tej ortografii zwolennikiem. Autor zresztą powinien wiedzieć (informacyj dostarczy *Gramatyka* Małeckiego „większa,“ tom I), że końcówka *i* tkwi nietylko w takich imionach, jak: *doktorzy*, *badaczy*, *wierszy*, *sprzedaży*, *tarczy*, *dobrzy*, — ale i w takich, jak: *niemcy*, *polacy*, *pieniędzy*, *miesięcy*, *nocy*, *blizcy*, *drodzy*. Tu i tam *y* jest znakiem zastępczym. Może tylko zachodzić kwestya, co konsekwentny krzewiciel grafiki „racyonalnej“ począć ma z pisownią wyrazów: *braci*, *ludzi*, *młodzi* itp.? Niema innej rady: litery *ć*, *dź* trzeba w tym razie kreskować (*brać*i, *ludź*i). Mniemamy jednak, że daleko roztropniej uczyni propagator „postępowej“ ze stanowiska głosowniowego, a pod względem praktycznym — wstecznej grafiki, jeżeli dla uniknienia błędu zasadniczego zrzecze się rażącej ogół, bo niezgodnej z wymawianiem, litery *i* po spółgłoskach przyciskowych.

Śmielsze jeszcze rady cisną się pod pióro; ale po co je wygłaszać, gdy autor, dotknięty srodze *dyplomato-grafiko-manią*, a odurzony kadzidłami, jest obecnie w fazie zachwytu.

Antoni Gustaw Bem.

I.

Szanowny Panie Redaktorze!

W czterech kolejno ostatnich numerach *Prawdy* czytam wzmianki o moim przekładzie „Nowej wiosny“ Heinego w zestawieniu z przekładami p. Al. Kraushara, zamieszczonymi w „Wyborze pism.“

Niezasłużony zaszczyt, który mię spotyka, przypisać, niestety, muszę — nieporozumieniu.

1) W nr. 49-ym posądzono mię zupełnie bezpodstawnie — o zawiść zawodową. Zdaje mi się, że jeżeli nazwam przekłady Konopnickiej wręcz „świetnymi,“ oraz wysoko podnoszę talent poetycki i zdolność zrozumienia istoty poezyi Heinowskiej Aurelego Urbańskiego, Wł. Zagórskiego, M. Gawalewicza, Wł. Stebelskiego (w *Tygodniku ilustrowanym*), to szczerze pochwaliwszy pięciu poetów, mam chyba prawo z czystem sumieniem zganić szóstego.

2) W nr. 50-ym czytam: „Nie traktuje przez ramię innych ten, kto się nie czuje od nich wyższym." Najpierw nie traktowałem p. Al. Kraushara „przez ramię," ale jego przekładom poświęciłem w dwóch numerach *Tygodnika ilustrowanego* obszerny i sumienny rozbiór. Powtóre pytam: czy np. Chmielowski, krytykujący Kraszewskiego, czuje się wyższym od niego? Czy np. Cherbuliez, czyniąc zarzuty Meissonierowi, wyższym od niego się czuje? Wreszcie zgadzam się najzupełniej z p. Posłem Prawdy, że moje przekłady są gorsze, niż przekłady Al. Kraushara — i cieszyłbym się niezmiernie, gdyby przez to przekładom Al. Kraushara choć ćwierć zalety przybyło.

3) *Nigdy nigdzie* (ani w *Kraju*, ani w *Tyg. ilustr.*) *nie stawiałem nikomu mojego przekładu „Nowej wiosny" za wzór do naśladowania.*

Proszę Pana w imię bezstronności sądu tak wysoko zawsze przez *Prawdę* cenionej, o zamieszczenie tych kilku słów, bez żadnych zmian, w swem piśmie.

Czesław Jankowski.

II.

Może to nieporozumienie usuniemy:

1) Zdaje nam się, że samo pochwalenie pięciu poetów nie daje jeszcze „prawa" do nagany dla szóstego.

2) Ani p. Chmielowski nie pisze powieści, ani Cherbuliez nie maluje obrazów, więc niestosownie dobrany ten przykład musimy wyłączyć ze sporu. Natomiast może lepiej usłuży nam w tej sprawie inny: jeżeli dwu krawców uszyje kamizelkę, a jeden z nich tak dalece zgani robotę towarzysza, że uzna ją za niegodną noszenia, czyż to nie znaczy, że go traktuje „przez ramię"? P. Jankowski ogłosił aż w dwu pismach przekłady Kraushara za tak złe, że radził „rzecz rozpocząć na nowo"; teraz powiada skromnie, że jego przekłady są gorsze; więc cóż należy począć z jego „rzeczą" i dlaczego ją sprzedał nakładcy?

3) P. Jankowski zganił przekład cudzy, a wydał swój, więc nietylko wykazał, jak Heinego tłomaczyć nie należy, ale zarazem dał „wzór" — przynajmniej Krausharowi — jak tłomaczyć należy? Dla nas jest to jasne.

P. P.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Towarzystwo ogrodnicze na ostatniem swojem zebraniu wysłuchało sprawozdania gospodarczego, przyznało nagrody dwu wysłużonym ogrodnikom i odrzuciło wniosek urządzenia wystawy w roku bieżącym, upoważniwszy jednocześnie zarząd do wyjednania na ten cel zasiłku rządowego.

Towarzystwo sztuk pięknych dopełniło dorocznego rozlosowania obrazów i rzeźb między swych członków.

Na komorach celnych w ciągu trzech miesięcy — według rozporządzenia ministra — rubel srebrny będzie wart 70 kop., a papierowy 65 k. w złocie.

Nowi biskupi. Papież mianował: Zerra biskupem tyraspolskim, Audziewicza — wileńskim, Jaczewskiego — lubelskim, Nowodworskiego—płockim.

Towarzystwo udziałowe posiadaczy ziemskich. Ospała szlachta w gub. wołyńskiej zaczyna się ruszać i to w sposób dotąd niebywały. Pod przewodnictwem marszałka gubernialnego grupa posiadaczy ziemskich zawiązuje tam towarzystwo akcyjne w celu stworzenia i rozwoju przemysłu górniczego na Polesiu wołyńskiem. Ostatnie poszukiwania wykazały, iż cała gubernia posiada bogate pokłady węgla kamiennego, bursztynu, granitu i wiele innych bogactw, które przy umiejętnej eksploatacyi mogą do niepoznania zmienić warunki ekonomiczne ludności tamtejszej. Powstające Towarzystwo zamierza urządzić na wielką skalę fabryki surowca i żelaza. W związku z tem projektowaną jest kolej żelazna z Wielunia, stacyi drogi Wileńskiej, do Pieczanówki, stacyi dróg Południowo-Zachodnich; albo przez Żytomierz do Berdyczowa. W miarę rozwoju przemysłu będą budowane jeszcze inne linie dojazdowe. Wszystko to wpłynie na ogromne ożywienie szerokich obszarów gub. wołyńskiej, mińskiej i grodzieńskiej. Ustawy Towarzystwa oraz plan kolei Wieluńskiej posłano już władzy wyższej do zatwierdzenia.

Własność ziemska w gub. wołyńskiej. Obok faktu powyższego dziwnie wygląda następujący: Kijowski Bank ziemski wystawił w grudniu na sprzedaż publiczną za raty zaległe pożyczek długoterminowych 67 majątków ziemskich w gub. wołyńskiej (ogółem 90,613 dzies. gruntu), pod których zastaw wydano 1,597,400 rs. Obowiązkowe raty półroczne wynoszą 33,624 rs, ogółem zaś suma zaległości doszła do 69,018 rs. Pomiędzy innemi cztery dobra wystawiono na sprzedaż za raty od *dwudziestu ośmiu do stu* rubli, siedem za raty od 101 do 200 rs., pięć za 201 do 300 rs., czternaście za 301—500 i dwanaście za zaległości 501—1,000 rs. Czyżby nędza zajrzała tym obywatelom w oczy tak zuchwale?!

Biblioteka polska w Saratowie. Kółko polaków, mieszkających stale w Saratowie, postanowiło utworzyć bibliotekę i czytelnię polską i doczekało się pomyślnego rezultatu. Księgozbiór liczy już półtora tysiąca dzieł wyborowych, między któremi znajdują się w komplecie najcelniejsi pisarze nasi. Zajmujący się urządzeniem biblioteki, skutkiem braku środków na wynajęcie lokalu, zdecydowali się ofiarować uzbierane książki miastu, dla pomieszczenia ich w bibliotece publicznej w osobnych szafach, z warunkiem, aby dochód z tego działu szedł na nabycie nowych dzieł i prenumeratę pism. Rada miejska dar z podziękowaniem przyjęła, lecz warunki podane .. odrzuciła. Ofertę cofnięto; jeden zaś z mieszkańców Saratowa ofiarował część swego mieszkania na umieszczenie księgozbioru i czytelni bezpłatnej. Z początku chciano bibliotecżkę umieścić przy katolickiej szkółce parafialnej, ale protest księży stanął na przeszkodzie.

Handel. W r. b. wydane będzie około miliona rubli tytułem premium za wywóz cukru na rynki azyatyckie.

— Ministeryum skarbu, w celu poparcia fabrykacyi wyrobów tytoniowych zamierza ogłaszać urzędowe buletyny o stanie plantacyj, o widokach urodzaju tytoniu, o zbiorach, zapasach itd.

Wiadomości administracyjne. W sferach rządowych opracowują projekt nowego prawa o odpowiedzialności za nieregularne spłacanie podatków skarbowych.

— Senat rządzący wyjaśnił, że w miasteczkach w gub. zachodnich żydzi mogą brać w arendę prawo propinacyi tylko z zachowaniem warunku w art. 363, dozwalającym izraelitom prowadzić handel spirytualiami w granicach ich osiadłości i tylko w domach własnych.

Nowe pismo. W Samarkandzie ma wkrótce wychodzić gazeta p. t. *Okraina.*

Zapis dr. Stanisławowa Majkowskiego tytułem wieczystego funduszu 3,000 rs. dla warszawskiego Towarzystwa dobroczynności przyjęty został z zachowaniem praw osób trzecich.

Sprawa o roztwonienie funduszów w Charkowskim oddziale Banku szlacheckiego w sumie 60,000 rs. będzie roztrząsana w Izbie sądowej z udziałem przedstawicieli stanowych w d. 11 b. m.

Poczta. Od 13 b. m. w Petersburgu, a następnie kolejno w Moskwie, Warszawie, Odesie, Kijowie, Rydze i innych miastach puszczone będą w obieg banderole z odbitymi stemplami opłaty pocztowej, oraz blankiety na listy zamknięte z takimże stemplem, zastępującym razem papier do pisania i koperte.

Szkoły. Egzaminy kandydatów i kandydatek nowo wstępujących do konserwatoryum warszawskiego trwać będą od 2 do 10 b. m. włącznie. Lekcye zaczną się 15.

— Na nadchodzącym zjeździe przedstawicieli wykształcenia technicznego poruszona, będzie pomiędzy innemi, sprawa zaopiekowania się osobami, kończącemi kurs w szkołach specyalnych. Są dwa projekty: jeden proponuje utworzenie szeregu drobnych instytucyj miejscowych, drugi głosuje za jedną instytucyą centralną.

— Postanowiono w krótce pootwierać szkoły mleczarskie, w których wykładane będą: hodowla bydła, wyrób masła, sera, buchhalterya, arytmetyka, hygiena zwierząt domowych, leczenie ich, przezimowanie bydła itd.

— Rozporządzenie, uwalniające studentów uniwersytetów zaliczonych do zapasów armii od powoływania na ćwiczenia podczas kształcenia się, rozciągnięto także na studentów instytutu nieżyńskiego, historyczno-filologicznego, instytutów weterynaryjnych, gospodarstwa wiejskiego w Nowej Aleksandryi (Puławach) i szkoły politechnicznej w Rydze.

Konkurs im. Antoniego Rubinsteina odbędzie się 27 sierpnia 1890 r. Nagrody dwie po po 5,000 franków, jedna dla kompozytorów, druga dla pianisty. Obie mogą być przyznane jednej osobie. Zamiast jednej mogą być wydane dwie po 2,500 fr. Do konkursu dopuszczane są osoby płci męzkiej od 20 do 26 lat wieku, wszystkich narodowości, religij, stanów i bez względu na to, gdzie się kształciły. Pragnący przyjąć udział w konkursie, powinni zawiadomić o tem piśmiennie kantor konserwatoryum petersburskiego (ul. Teatralna numer 3) najpóźniej do 27 sierpnia n. st., dołączywszy dokumenty, stwierdzające ich obywatelstwo i wiek. Konkurs odbywa się w konserwatoryum pod przewodnictwem dyrektora.

Zmarli Ordynat Tomasz hr. Zamojski.

— Dr. Stan. Smoleński, docent uniwersytetu w Krakowie, autor wielu rozpraw lekarskich, badacz zdolny i pisarz utalentowany. Przed rokiem w ciągu jednego tygodnia stracił żonę i córkę, odtąd szybko zapadał na zdrowiu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Gustawowi F. Te „niebieskie regiony" są dla nas całkiem niejasne.

Pani O. D. w T. Spółka Nakładowa ma tyle wydawnictw zamierzonych, że one na długo jej wystarczą. Rękopisy przesyłać można pod opaską rekomendowaną.

Panu R. N. w Radz. W przyszłym numerze pomieścimy.

Sawantce. Pomysł dobry, pierwsza połowa wierszowana zręcznie, ale koniec nie dopisał.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Na Karnawał! BIELIZNA Na Karnawał!

Nie mając sklepu od ulicy, lecz mieszcząc takowy razem z pracownią, jestem w możności robienia możliwych ustępstw w sprzedaży moich wyrobów. — Koszule męzkie odznaczają się najlepszym krojem, jak również wszelka inna bielizna, wychodząca z mojej fabryki odpowiada najwybredniejszym wymaganiom, gdyż fabryka prowadzona pod zarządem właścicielki specyalistki, której zależy na stałej Klienteli i Jej rekomendacyi. *Panom Handlującym odstępuję rabat.*

Specyalna Fabryka Bielizny

TEOFILI FUKS

Senatorska Nr. 26, wprost Kościoła.

GEBETHNER i WOLFF

NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Fortepianów i Pianin

Sprzedaż na raty. Wynajem instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Naprzeciw hotelu Europejsk.— Czysta, 2.

Zegarmistrz F. Woroniecki

poleca tanio — w wielkim wyborze

Zegarki i Regulatory,

Dewizki złote, srebrne i kompozycyjne, **Kontrolery** stróżów nocnych, znaczny asortyment zegarków z Fabryki: **PATEK, PHILIPPE** i Sp. w Genewie.

Srebrne medale 1885 i 87.

Zakład istnieje od r. 1866.

Niecała Nr. 12,

JAN KAMIEŃSKI

Magazyn Obuwia Damskiego, Męzkiego i Dziecinnego,
Wybór znaczny gotowego, a także i na obstalunki.

Ze względu na ogólne „ciężkie czasy," przez czas karnawału **10% taniej** od cen zwykłych.

JAN KAMIEŃSKI

Niecała Nr. 12.

PRACOWNIA I MAGAZYN OBUWIA

Męzkiego, Damskiego i Dziecinnego

E. ZAPOLSKIEGO

Marszałkowska 121 (róg Siennej).

WYROBY W NAJPRZEDNIEJSZYM GATUNKU.

Przegląd Pedagogiczny

zamieszcza praktyczne wskazówki o wychowaniu fizycznem i moralnem, sposoby bawienia i zajmowania dzieci, lekcye wzorowe z różnych działów nauki, wiadomości o nowych podręcznikach do nauki szkolnej i domowej etc.

Kosztuje kwartalnie w Warszawie rs. 1 kop. 50, na prowincyi rs. 1 k. 75. Przedpłatę przyjmuje księgarnia Gebethnera i Wolffa, tudzież inne księgarnie miejscowe i na prowincyi.

SPRAWA

ZYGMUNTA UNRUGA

Epizod historyczny z czasów saskich 1715—1740,

przez

Alexandra Kraushara,

(autora Olbrachta Łaskiego i Czarów na dworze Batorego),

DWA TOMY.

Cena rs. **3**, z przesyłką rs. **3** k. **40**.

Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Podana przez SMOŁĘ przechwała, jak kilkakrotnie wykazałem, jest tylko BLAGĄ, opartą na własnej reklamie dla złowienia świeżego wspólnika.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!

PEWNY ŚRODEK

„EXSICCATOR"

OSUSZA WILGOĆ, ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA, GRZYBKA i t. p. — BROSZURKA ILUSTROWANA BEZPŁATNIE.

POSZUKUJĘ AGENTÓW.

Wyn. Inż. G. Ritter. KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Preparatu tego nie należy porównywać z reklamowanemi smołami, vel gudronitami.

Lornetki teatralne achromatyczne, **Mikroskopy, Termometry, Binokle, Okulary, Lokomobilki, Lokomotywki** parowe, **Latarki czarnoksięzkie** i t. p. poleca o **25% taniej** optyk

JULJAN DREHER, Szpitalna 6.

Przyjmuje wszelkie reperacye.

Najnowsze Książki

Czytelnia

K. PASZKOWSKIEJ

14, Chmielna, 14.

Nowo otworzony

SPECYALNY MAGAZYN

oraz Pracownia Ubiorów

i BIELIZNY DZIECIĘCEJ

A. SIERZPUTOWSKIEJ

WARSZAWA, ul. Czysta Nr. 8.

Poleca JW. i WW. Rodzicom wielki wybór ubrań gotowych dla dzieci, oraz bieliznę, a także wyprawki dla niemowląt. Robota wykończona podług najświeższych modeli z możliwą akuratnością po cenach umiarkowanych. Prócz tego przyjmuje roboty z materyałów powierzonych, które wykończać będzie na czas umówiony.

F. Drechsler
Warszawa,
Leszno 14.



ROWERY od rs. 125—250.
BICYKLE od rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

„Na Raty"

Lustra

sprzedaje miejscowym i na prowincyę

Fabryka zwierciadeł

MAURYCEGO Silberberga

8, Rymarska, 8.

UWAGA. Uprasza się o łaskawe zwrócenie uwagi na **dokładny adres** z powodu istniejących firm podobnych i na **umieszczony w wystawie** napis **„Na raty."**

Russkaja Myśl,

Miesięcznik polityczno-literacki.

Warunki prenumeraty na rok 1890: z przesyłką wewnątrz państwa: na rok 12 rs., na pół roku 6 rs., na 3 miesiące 3 rs., na miesiąc 1 rs.; za granicą rs. 14, 7, 3 k. 50.

Dla abonentów rocznych dopuszcza się rozpłata przy zapisie, 1 kwietnia, 1 lipca i 8 października po 3. rs.

Księgarze otrzymują 50 kop. rabatu od każdego egzemplarza rocznego, bez kredytu i rozpłat.

Miesięcznik wychodzi pod dotychczasową redakcyą i w dotychczasowej objętości.

Prenumerata przyjmuje się: Moskwa, Leontiewskij pier. 21. Wydawca i redaktor W. M. Ławrow.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Ценsурою. Варшава, 22 Декабря 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski